

Z Nowym Rokiem



Rys. Jerzy Cwiertnia

Sylwestrowy horoskop

Atmosfera sylwestrowego wieczoru usposabia do rozmyślań. Stary rok minął jak z bicza strzelił; co przyniesie nowy? Chciałoby się przeniknąć zagadki przyszłości i z szarlatanijskiej szklanej kuli lub układu gwiazdnych konstelacji odczytać horoskop. Owa niespokojna ludzka ciekawość jest stara jak świat i ona to właśnie dała początek... noworocznym uroczystościom. Starożytni bowiem kapłani chaldejscy próbując odczytać tajemnicę przyszłości ze wschodów zagadkowej gwiazdy Sot, dokonali, być może przypadkiem, niezwyklego jak na owe czasy odkrycia: ustalili długość roku na 365 dni, tworząc w ten sposób pierwszą w dziejach kalendarz. Oddajmy należną naukową ścisłości — rok gwiazdowy liczy sobie równo 365 dni, 6 godzin, 9 minut i 9,5 sekundy, ale wobec chaldejskich kapłanów — stać nas na pewną dozę wyrozumiałości.

Przy tradycyjnej lampce wina, w gronie serdecznych przyjaciół — myślimy o nowym roku 1955. Będzie on na pewno — jak dziesięć poprzednich lat — rokiem twórczym choć niełatwym, bogatym w doniosłe wydarzenia, ofiarującym w całą gamę różnorodnych, wspólnych, a jednak jak najbardziej osobistych przeżyć i wrażeń. Rok — to szmat czasu, łatwo się w gąszczu zdarzeń zabić i dlatego przed przystąpieniem do układania naszego „horoskopu” trzeba się dobrze zastanowić: od czego zacząć? I tu przychodzi nam z pomocą rada pewnego Króla z „Alicji w krainie czarów”:

— Zaczęj najpierw od początku, dojdź do środka, a kiedy osiągniesz koniec — zatrzymaj się...

Owa genialna w swej prostocie metodologia przyda się nam sylwestrowego wieczoru. A więc — do dzieła!

ROZPOCZNIEMY nowy rok doniosłym wydarzeniem. 29 stycznia odbędzie się w naszej stolicy II Zjazd Związku Młodzieży Polskiej. Będzie on nie tylko uroczystym zgromadzeniem delegatów — lecz okazją dla przeprowadzenia najbardziej osobistego bilansu przez każdego z nas: czego dokonaliśmy, o ile jesteśmy dojrzałsi, co mamy przede wszystkim do zrobienia, czy bilans moich ostatnich lat zamyka się saldem dodatnim czy ujemnym?... Podobnie ocenimy wspólne zdobycze. Jak rodzice mierzą swe dziecko przy framudze drzwi, żeby przekonać się o ile urosło — dokonamy przeglądu naszych osiągnięć, naszego dorobku. Uświadomimy sobie wartość przegranych prac, jakie mamy za sobą, bogactwo zdobytych doświadczeń, siłę jedności naszych szeregów. I na pewno okaże się także, ile jeszcze złego jest w naszej pracy i naszym życiu, ile pełni się zadufkostwa, beczalstwa, bezduszności, ile trzeba błędów naprawić, a spraw przemysleć od nowa. Możemy być pewni, że najtrudniejsze nawet zadania zostaną urzeczywistnione jeśli wspólnie uszczyszczymy z nowym zapalem i nową energią ruszymy do pracy. Niedarmo zawołaniem naszym stały się natchnione słowa poety: „Razem młodzi przyjaciele, w szczególności wszystkie są wszystkich cele...”.

W „SAMYM ŚRODKU” roku — przeżyjemy wspaniałe dni. Będziemy gospodarzami kilkuset tysięcy młodych przyjaciół ze wszystkich zakątków świata, którzy przybędą w lipcu do naszej stolicy, by uczestniczyć w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów. Warszawa powita ich prostym pięknem odbudowanego śródmieścia otaczającego niebotyczny Pałac i tu jeszcze raz ukażemy światu, że młodzi potrafią żyć w przyjaźni, rozumieją się wzajemnie, że pragną spotykać się na stadionach i placach pokojowych miast, a nie w strzeleckich rowach nowych wojen. Warszawski Festiwal wzbogaci nas w wiele niezapomnianych przeżyć, pozostawi w nas żywe poczucie głębokiej wspólnoty z naszymi rówieśnikami, młodymi ludźmi wszystkich kontynentów.

KONIEC nadchodzącego roku — będzie zarazem uwieńczeniem naszych sześciolatkich prac. Planowa gospodarka dokonała tego, czego nie potrafili osiągnąć wroźdźcy od chaldejskich kapłanów poczynając a na autorach półtoradolarowych broszurek „How to Tell the Future” skończywszy. Nauczyła nas przewidywać na długie lata napróżd i „mierząc się na zamiary” dokonywać cudu przeobrażenia życia. Dlatego wiemy, ile pod koniec nowego roku mieć będziemy w naszym kraju surowki żelaznej, ile książek, ile młodych inżynierów i ekonomistów, lekarzy i prawników, artystów i naukowców... Spiętrzenie tych liczb otworzy jakościowo nową epokę. Pracę nad budową fundamentów będziemy już mieli za sobą. Za rok od dziś weźmiemy się do wyższych kondygnacji gmachu.

Tak, zadania czekają nas rozległe i niełatwe. Przyszłość — taka jakiej chcemy — nie przychodzi jednak w prezencie, jak noworoczny podarunek. Dlatego i od nas zależy — co rok każdemu przyniesie.

Tradycyjnym zwyczajem, w sylwestrową noc składamy sobie wzajemne życzenia. Życzymy sobie „wszystkiego najlepszego”; wypada również życzyć wszystkim, aby rok 1955 przyniósł mniej pustej gadaniny — więcej rzetelnej pracy, mniej nudziarstwa — więcej serca, mniej bufonady — więcej szczerzego zapachu.

No i przede wszystkim — wiele, jak najwięcej prawdziwie młodzieńczej radości życia podczas 365 dni, 6 godzin, 9 minut i 9,5 sekundy Nowego Roku.

poprosto

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Ty także zabierz głos!

O d kilku tygodni rozwija się w naszym kraju szeroka dyskusja nad pracą naszej zetempowskiej organizacji. Pragniemy w związku ze zbliżającym się II Zjazdem ZMP uogólnić wszystko to, co cenne w naszej pracy, zebrać i podsumować nasze osiągnięcia, aby stały się coraz większe i coraz bardziej powszechne. Pragniemy także do końca obnażyć nasze niedociągnięcia, ujawnić wszystko co przeszkadza w pracy, dotrzeć do źródeł błędów i braków, aby je bezpowrotnie zlikwidować.

W tej dyskusji prowadzonej wewnątrz organizacji oraz na łamach całej naszej prasy zbyt słabo jak dotychczas dźwięczą głosy studentów, to znaczy tych, którzy mają być w przyszłości nie tylko aktywnymi budowniczymi socjalizmu w naszym kraju, ale tego budownictwa oficerami na wszystkich odcinkach naszego życia gospodarczego, kulturalnego i naukowego.

Czyżby znaczyło to, że osiągnięcia naszych organizacji zetempowskich na uczelniach są oczywiście i tak powszechnie znane, a braki tak niewielkie i nieistotne, że nie warto o nich mówić? Wydaje się, że postawienie takiej tezy byłoby absolutnie sprzeczne z rzeczywistym stanem rzeczy. Musimy chyba wszyscy przyznać, że osiągnięcia w pracy wychowawczej naszej organizacji wśród studentów są jeszcze dalekie od tego co chcielibyśmy mieć, a wiele braków i niedociągnięć charakterystycznych dla całej naszej organizacji znalazło szczególnie jaskrawe odbicie na terenie studentów.

Jest więc o czym podyskutować, towarzysze!

W ostatnich dniach w toku dyskusji otrzymaliśmy do rąk potężny oręż, który pomoże nam w skupieniu naszej serdecznej rozmowy o zetempowskich sprawach na zagadnieniach najważniejszych — opublikowany został projekt statutu ZMP. W ślad za tym projektem Zarząd Główny ZMP wystosował list do wszystkich członków organizacji wzywając ich do szerokiej, otwartej i szczerzej dyskusji oraz określając najistotniejsze problemy tej dyskusji. Posługując się projektem naszego nowego statutu łatwiej nam będzie — konfrontując naszą dotychczasową pracę z jego wymaganiami — ustosunkować się do niej i krytycznie ją ocenić.

Co głównie zwraca naszą uwagę przy studiowaniu nowego projektu? Przede wszystkim określa on w sposób jasny i prosty charakter i oblicze naszej organizacji. Projekt nowego statutu głosi:

ZMP jest organizacją młodego pokolenia Polski Ludowej — jednoczącą w swych szeregach coraz szersze rzesze patriotycznej młodzieży miast i wsi.

Członkiem ZMP może być każdy młodziwiec i każda dziewczyna, jeśli ma szczerą chęć należenia do organizacji i brania udziału w urzeczywistnianiu jej celów dla dobra młodzieży i całego narodu.

ZMP jest więc organizacją, do której może należeć każdy młody człowiek. W przyjmowaniu do ZMP nie stawiamy żadnych barier ani ograniczeń. Powyższe sformułowanie statutu jest szczególnie ważne dlatego, że dotychczas było na tym wiele nieporozumień i przecieżeń. Niezależnie od tego, że odrębne centralne przepisy i instrukcje zakładają żmudną i zbędną procedu-

rę przyjmowania z żądaniem szczegółowych referencji i wypełniania dużej ilości papierków, nagminne były — szczególnie w organizacjach szkolnych i studenckich — sekciarskie wypaczenia pewnej części aktywu, która chciała przyjmować do organizacji tylko ludzi z ukształtowanym już światopoglądem, przodujących, aktywnych, takich — którzy potrafiliby bezbłędnie odpowiedzieć na szereg podstawowych pytań z dziedziny teorii marksizmu-leninizmu. U źródeł tych praktyk leżało niezrozumienie podstawowych zadań ZMP, wychowawczej roli Związku, niezrozumienie tego, że młodzież znajduje się pod wychowawczymi wpływami ZMP przede wszystkim wówczas, gdy będzie należała do organizacji. Takie praktyki w swych skutkach szkodziły poważnie organizacji, ograniczały jej masowość i wpływy na całą młodzież.

Czy znaczy to, że zmieni się charakter naszej organizacji, jej oblicze ideowe — jak to już komentują niektórzy nadgorliwi aktywiści? Oczywiście, że takie twierdzenie pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. Statut stwierdza wyraźnie, że ZMP wychowuje nowego człowieka wolnego od przesądów i zabobonów, od poglądów obcych postępowi i nauce, szerzy wiedzę o prawach rozwoju przyrody i społeczeństwa, krzewi przeobrażające świat idee marksizmu - leninizmu. Chcemy wychowywać całą naszą młodzież na ludzi pełnowartościowych. Ażelnych, zdrowych, zahartowanych fizycznie i czystych moralnie, skromnych i uczciwych, koleżeńskich i uczynnych, ufnych w swoje siły, śmiało łamiących trudności i przeszkody, radujących się

życiem — ludzi godnych naszej wielkiej epoki socjalizmu.

A czy takim człowiekiem nie powinien być każdy student, który w najbliższym czasie zajmie odpowiedzialny odcinek na wielkim froncie naszego budownictwa? Czy wobec tego możemy uważać za normalne zjawisko, że ogólnie biorąc — ponad 20 proc. naszej młodzieży studenckiej nie należąc do ZMP pozostaje poza naszymi bezpośrednimi wpływami? Warto wobec tego podyskutować, czy w najbliższym czasie nie powinniśmy skierować swych wysiłków na to, aby większość tych ludzi, których uznaliśmy za godnych miana studenta, którzy po studiach otrzymają nakaz pracy na odpowiedzialny odcinek, znalazło drogę do naszych szeregów.

Charakterystyczną cechą projektu nowego statutu jest to, że zwraca się on bezpośrednio do każdego członka ZMP, wskazuje w sposób jasny i prosty zadania, prawa i obowiązki. Poważna jego część traktuje bezpośrednio o pracy koła ZMP, daje każdemu kołu konkretne wskazówki i wytyczne. I warto na tej podstawie dokonać konfrontacji tych założeń z dotychczasową praktyką w organizacji. Jedną z podstawowych chyba przyczyn niedostatecznego oddziaływania naszych zetempowskich ogniw studenckich na całą młodzież jest bierność i niedowład tzw. „szarej masy członkowskiej”. Nie stanowi to dla nikogo tajemnicy, że większość prac podejmowanych przez organizację na naszym studenckim terenie to prace, zebrania i dyskusje zaplanowane z góry przez władze i aktywną organizację. A że poważna część tego aktywu oderwała się od mas członkowskich, nie żyje sprawami i problemami nurtującymi podstawowe masy Związku, mamy zjawisko „wymyślonych” tematów dyskusji, oderwanie pracy od spraw, którymi żyje młodzież, ignorowanie jej dążeń i pragnień. Ten aktywny odwrócony twarz do góry do władz i instancji organizacji, a plecami do członków, aktywny rządzący się jak szara gęś w naszej organizacji mógł wyrosnąć jedynie tam, gdzie zapomniano o przysługującym każdemu zetempowcowi prawie do ostrej krytyki i samokrytyki, o prawie wypowiadania się na każdy temat w każdym zetempowskim gronie, o tym, że najwyższym prawem dla organizacji jest wola jej członków.

I dlatego tak ważne jest, aby w odpowiedzi na list ZG ZMP każdy z nas wypowiedział się, czego oczekuje od organizacji, jak wyobraża sobie jej pracę, co powinniśmy robić, aby ciekawe dyskusje, które toczą się wśród nas „po cichu” w domach studenckich załatwiły żywą, bojową treścią na naszych zebraniach i wieczornicach. Musimy o stro, krytycznie ocenić działalność tych aktywistów, którzy pozostali w miejscu, którzy nie idą naprzód wraz ze wzrostem świadomości, zainteresowań i wiedzy wszystkich studentów, którzy usiłują stosować w naszej zetempowskiej pracy stare, ograne już hasła i slogany.

Bardzo istotne dla naszej dalszej pracy na wyższych uczelniach jest wzbogacenie treści tej pracy. A wzbogacenie jej treści, to wychodzenie do dyskusji od wątpliwości i pytań, które nurtują wielu z nas, to podniesienie na wyższy poziom pracy światopoglądowej, o której tyle się przecież mówi, a która w swej treści jest jeszcze często tak uboga, nieledwie na etapie „Jak powstało życie na ziemi”, to szeroka, bogata praca nad budowaniem socjalistycznej moralności każdego z nas w sposób szerszy niż traktują do dotychczasowe dyskusje skupiające się zazwyczaj na problemie miłości dwojga młodych ludzi.

Krótko mówiąc — każdy z nas, każdy członek ZMP, któremu leży na sercu dobro organizacji, każdy, kto chciałby w naszych szeregach znaleźć ujście dla swych szerokich zainteresowań, każdy, kogo bolą nasze błędy i niedociągnięcia winien zabrać głos w tej wielkiej dyskusji. Tylko szczerza, otwarta dyskusja wypowiedzenie wszystkim co nas cieszy i boli może podnieść na nowy, wyższy etap — odpowiadający ogólnemu wzrostowi poziomu naszej młodzieży — naszą pracę, może sprawić, że żywszym, gorącym tętnem zabije puls naszej działalności. A jest o czym dyskutować, towarzysze!

JAN ZALEWSKI

Z dna serca

Mówię do Ciebie. Noc nad polem
Jak czarny żagiel płynie z wiatrem.
Rozchwyany w mroku cień topoli
Na straży czasu trwa uparty.

I w tysiąc mórz zagłada księżyc.
Oto się rodzi myśli chwila,
Nim wstanie dzień z wysokich wlezy
Kokon zamieni się w motyla.

Ustanie kwiatu dojrzewanie —
Pak się przemieni w płatki kruche...
Z dzwonekami gwiazd mkną nocy
sanie.

Mówię do Ciebie, ziemio. Sluchaj.

Znam dwa cierpienia. Jedno takie
Gdy w sercu zapalone słowo
Drażą krajobraz lotnym płakiem —
Wysoką, mazowiecką mową,

Maluje góry i doliny
I las nad wodą (las pod wodą,
Gdy się odbije, jest tak inny,
Ze się zatrzyma, stanie słowo)

I płyną myśli, obraz płynie,
A pióro w dłoni — pud żelaza,
A przecież słowa nie ominiesz
Jak nie ominie frazy fraza

Gdy w pleśń się łączy. Lepki chłód
Kładzie ci wtedy czas na czoło
I ciężar myśli masz u nóg
Choć skrzydła myślom dasz sokołe,

To jest cierpienie najpiękniejsze.

I jeszcze jedno jest. Gdy słowo
Wyprysnie w górę zgrabnym lotem
Lekkością swoją bawi oko
I srebrem mieni się i złotem

Lecz lot ma nlski jak jaskółka
Przed burzą kiedy krąży nisko.
I tylko tli się jak przed świtem
Dopalaające się ognisko.

To jest cierpienie najtrudniejsze.

IV
Dlaczego mówię to? Bo jest
Coś więcej w nas niż cień milczenia

Opadający z murów wleż
Sławą dawnego pokolenia,

Bo jest coś więcej niżli dzban
I niżli koncha muszli starej,
Niż stara pieśń, niż stary tan
Na wsi plonący jak ogarek

Jest nowa ziemia, nowy kwiat
I pieśni nowe gdzieś spod Płońska...
A ja to wszystko chciałbym znać
I wypowiedzieć mową polską.

O, mowo polska. Ileż strof
Sławilo ciebie czułym dźwiękiem
I ubierano cię we wrzos
I w kwiaty polne, jak panienkę!

I szłaś miedzią suchych pól
By wioska znr cię najmniejsza
I byłaś jako śmiech i ból
I wina czara najpiękniejsza.

Oto podnoszę cię i drzę
Bo lot wysoki twój i górny,
A ja przy tobie mały, wiem,
Karzelek prawie, choć czupurny

Bo dzięki tobie przecież wiem
Jak szumią drzewa w starej puszczy
I dzięki tobie obraz ziem
W sercu odbija się jak w lustrze.

Mówię do ciebie. Noc nad polem
Jak czarny żagiel płynie z wiatrem.
Rozchwyany w mroku cień topoli
Na straży czasu trwa uparty

I w tysiąc mórz zagłada księżyc.
Za to, że radość jest i młodość,
Za to, że świat z wysokich wlezy
Schodzi zrodzony gdzieś nad wodą,

Za mowę polską — dzwiniący dzwon,
Za lot jaskółczy, traw gadanie,
Za utajony w muszli ton
Co morzem jest i kołysaniem,
Za dwa cierpienia najtrudniejsze,
Za owiniętą w dymach ziemię,
Która jest najpiękniejszym wierszem
I tonem jego i natchnieniem,

Za twoje łaki, pola twoje,
Za twoje huty, za twe wojsko —
Kocham cię, kruchy i nietrwały...
Dziesięciolecie, młoda Polsko!

Walka trwa nadal

STANISŁAW ALBINOWSKI

Nie wiadomo jak historycy „zaklasyfikują” kiedyś rok 1954. Dla nas, współczesnych, był to w każdym razie rok wielkich emocji, rok trudnych i dlatego o ogromnych sukcesach. Ze szczególną siłą wzmogło się w tym okresie napięcie walki o pokój, której wynik można by najdosadniej streścić tak: została wykazana w praktyce skuteczność idei rokowań i jej wyższość nad „polityką siły”, albowiem przy pomocy rokowań rozwiązano problemy, które od lat wlewały w ślepy zaułek „dylematu siły”. Zostały również wykazane w praktyce możliwości i korzyści pokojowego współistnienia krajów o różnych ustrojach społecznych.

Pokój... Budzić musi w każdym z nas głęboką radość fakt, że rok 1954 był pierwszym od lat 24 okresem, gdy na całej kuli ziemskiej nie toczyła się żadna wojna. Nastąpił więc pokój, który — jak jednak stwierdził niedługo po Poczdamiu mr Baruch, osławiony dyplomata atomowy USA — „staje się prawie nienawistny po zakończeniu wojny”. Nie można wątpić, że w oświadczeniu tym Baruch

usiłują oni „nie widzieć” Chin Ludowych, usiłują nie dopuścić ich do ONZ. Co prawda jeszcze i rok ubiegły nie przyniósł pod tym względem zwycięstwa słusznej sprawy, ale wszystko świadczy o tym, że te paktwo Pentagonu w stosunku do Chin wykują jeden z największych gwoździ do trumny amerykańskiej „polityki siły”. Już teraz kwestia ta jest źródłem narastających sprzeczności między atlantykami „sojuszniczymi”. A co o tym myślał trzeźwiejszy Amerykaniec, może świadczyć memorandum Amerykańskiej komisji polityki międzynarodowej (określającej się jako „apolityczna organizacja nie obciążona na zysk”!) — autentycznej! Otóż memorandum to stwierdza, że konieczność „nowego podejścia” do zagadnienia Chin podkreśla, że „przeciągający się kryzys na Dalekim Wschodzie grozi Zachodowi (tzn. USA) szeregiem porażek prowadzących do ostatecznej klęski”.

Rok 1954 poświadczył więc z niebywałą siłą, że ludy Azji, pobudzo-

i Londynu wobec Paryża, a jednocześnie — o potężnym zrywem narodu francuskiego, który zdecydowany jest walczyć aż do zwycięstwa o suwerenność i bezpieczeństwo swego kraju.

Nie można w tej chwili przewidzieć, jakie będą ostateczne wyniki debaty nad układami paryskimi. Ale nawet, jeśli niektórzy deputowani ugną się pod presją USA i Anglii, jeśli inni — być może — pójdą na lep zakulisowych machinacji Mendes France’a, to cały świat będzie wiedział jedno: Odrodzenie Wehrmachtu może nastąpić tylko bez zgody i wbrew woli Francji. A taka sytuacja stanowi załagę sprzeczności, które nie mogą nie doprowadzić do rozsądzenia agresywnej „unii” od wewnątrz, tym bardziej, że w samych Niemczech zach. z każdym dniem narasta opór przeciw awanturniczej polityce — jakże butnego jeszcze przed rokiem — Adenauera.

Niepowodzenia USA w sprawie Wehrmachtu są ważnym, ale nie

mat międzynarodowy w związku z utratą monopolu broni atomowej i wodnorodowej przez USA. Nie widzieliśmy już w tym roku numerów „Colliers’a” poświęconych koszmarnym opisom Moskwy zburzonej amerykańską bombą atomową. Czytaliśmy natomiast w jednym z tego tegorocznych numerów korespondencję z Londynu, w której Drew Middleton pisał m. in.: „Przyjrzyjmy się sytuacji w kilku bombowodnorodowej. Niedawno jeden z uczonych w Birmingham oświadczył, że aby zniszczyć Anglię wystarczy — jego zdaniem — nie więcej niż 6 bomb wodnorodowych...”, wobec czego wielu Anglików twierdzi, że „w tej sytuacji lepiej jest zrezygnować z sojuszu z „agresywnymi” (cudzoziernymi) „Colliers’a” — red.) Stanami Zjed. — czonymi i kroczyć własną drogą”. Na drogę tę, jak dowodził np. ostateczna sesja ONZ, wkracza coraz więcej krajów. „Jest zdumiewające (dlaczego?) — red.) — pisał 11.11. ub. r., „Christian Science Monitor” — że plan Eisenhowera (w sprawie energii atomowej — red.) w... postać, w jakiej został przedstawiony w ONZ, wywołuje coraz więcej krytyki. Ta krytyka nie pochodzi ze źródeł komunistycznych”.

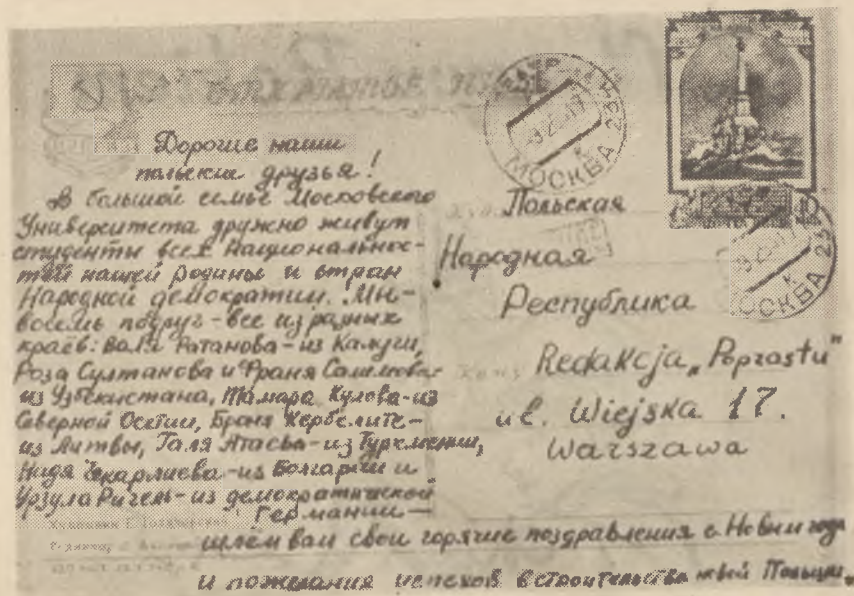
U NICH I U NAS

Opór krajów „sojuszniczych” wobec dyktatu USA jest dalszym przejawem kryzysu polityki siły. Stany Zjednoczone usiłowały nie tylko podbić Azję, uzbroić Wehrmacht i szantażować ludność bombą wodnorodową. Usiłowały one jednocześnie wzmocnić swą kontrolę nad światem kapitalistycznym, by zdobyć tym skuteczniejszą przewagę nad krajami socjalizmu. Wszystko to, „wzięło w łeb”, co muszą stwierdzić nawet sami Amerykanie. Oto co pisze na ten temat Kingsbury Smith w korespondencji nadesłanej dla „New York Journal and American”: „Obecnie w Europie zachodniej panują silniejsze nastroje antyamerykańskie niż kiedykolwiek w okresie poprzedzającym przystąpienie USA do wojny światowej”. Tak więc rok 1954 przyniósł dalsze zaostreżenie sprzeczności w pakcie atlantyckim i całym obozie imperialistycznym, potwierdzając jeszcze raz słowa skreślone przez Stalina w roku 1952:

„Zewnętrznie rzecz biorąc, wszystko jak gdyby toczy się „pomyślnie”: Stany Zjednoczone Ameryki wzięły na garnuszek Europę zachodnią, Japonię i inne kraje kapitalistyczne; Niemcy (zachodnie), Anglia, Francja, Włochy, Japonia, które wpadły w łapy USA, wykonują posłusznie rozkazy USA. Byłoby jednak rzeczą niesłuszną sądzić, że ta „pomyślność” może utrzymać się „na wieki wieków”, że te kraje będą bez końca znosiły panowanie i ucisk ze strony Stanów Zjednoczonych Ameryki, że nie spróbują się wyrwać z niewoli amerykańskiej i wkroczyć na drogę samodzielnego rozwoju”.

Jednocześnie wraz z postępującym rozkładem systemu politycznego i gospodarczego obozu imperializmu, rok 1954 przyniósł dalsze wzmocnienie i ogromne sukcesy krajów socjalistycznych. Budowałyśmy naszą potęgę przez wszystkie

Pozdrowienia Noworoczne
od studentek Uniwersytetu Moskiewskiego



„Droży nasi polscy przyjaciele!

W wielkiej rodzinie Uniwersytetu Moskiewskiego żyją w przyjaźni studenci wszystkich narodów naszej ojczyzny i krajów demokracji ludowej. My, osiem przyjaciółek z różnych stron: Wala Ratanowa z Kabuli, Roza Sultanowa i Frania Salimowa z Uzbekistanu, Tamara Kulowa z północnej Osetii, Bronia Kerbelite z Litwy i Gala Atajewa z Turkmennii oraz Nadia Czekarlijewa z Bułgarii i Ursula Riegel z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ślemy Wam gorące pozdrowienia noworoczne i życzenia sukcesów w budownictwie Nowej Polski”.



Na burcie samochodu wielki napis: „Młodzieży niemieckiej — musisz zadecydować!” Na wozie — makietę z trzema postaciami, obok których widnieją napisy: „Mój dziadek nosił mundur Wilhelma. — Mój ojciec nosił bluzę hitlerowską. — Ja chcę być cywilem.”
Walka młodzieży niemieckiej przeciw odrodzeniu Wehrmachtu przybiera na sile. Adenauer ma, co prawda, już generałów, ale skąd weźmie żołnierzy?!

zdradził najtajniejsze myśli swych szefów. Tym większy jest tedy nasz sukces. Konferencja Genewska, zrodzona w Berlinie, położyła kres wojnie indochińskiej mimo dwersji zorganizowanej przez USA.

MIEDZY GENEWĄ A PEKINEM

Czym była Genewa dla polityki reprezentowanej przez Dulles’a? Niech odpowie na to pytanie Stevenson, kandydat „demokratów” w ostatnich wyborach na prezydenta USA. Oto jego słowa wydrukowane w październikowym numerze czasopisma „Look”: „Bluff w Indochinach nie dał rezultatów. Jak przyszło co do czego, Ameryka była bezsilna, niezdolna do walki, niezdolna do rokowań, a nawet niezdolna do tego, aby mówić. USA siedziały nie na przysłowiowej konferencji w Genewie, podczas gdy oś Moskwa — Pekin nadawała ton”.

Tak, Stevenson nie mylił się. Ton Konferencji Genewskiej nadała wola narodów, wyrażona w propozycjach Związku Radzieckiego i Chin Ludowych, których roli i znaczenia międzynarodowego jako wielkiego mocarstwa nikt nie mógł już dłużej negować. I tak Dulles musiał uisnąć w jednej sali z Czou En-lajem, musiał wysłuchać jego miarodajnych argumentów, a gdy nie miał im nic do przeciwstawienia — wsiadł w samolot lecący do Waszyngtonu. Zachodni dziennikarze pisali wówczas w oszołomieniu, że Azja przebudziła się i wkroczyła na arenę „wielkiej polityki” jako samodzielną siłę. Mieli rację.

Wizyta Czou En-laja w Indiach, później rewizyta Nehru w Chinach, a ostatnio pobyt premiera Burmy U Nu w Pekinie świadczą o cementowaniu się pokojowej współpracy krajów Azji o różnych systemach społecznych, współpracy opartej na sformułowanych przez Czou En-laja i Nehru słynnych pięciu zasadach, współpracy mającej na celu umocnienie niezawisłości politycznej i gospodarczej tych krajów oraz utrwalenie pokoju.

Miliard ludzi, czyli tyle co 40 narodów polskich, powiedziało amerykańskiemu planom w Azji: „nie!” Cóż może temu miliardowi przeciwstawić Ameryka? — Pakt marionetek SEATO, bandytę Czang Kai-szeka czy sklerotycznego starca Li Syn-mana? Nawet burząją okupowanej Japonii uległa woli narodu i na dowód, że nie chce mieścić się w amerykańskie awantury, a pragnie handlować z Chinami Ludowymi — obalila kacyka Joszide.

Żalność wywoływać muszą szamotaninie się polityków waszyngtońskich, usiłujących powstrzymać bieg dziejów. Stosując na przemian politykę Goliata i politykę strusia,

ne przykładem Chin, wkroczyły w nowy etap swej zwycięskiej walki narodowo - wyzwoleniczej. Azja przestała być rezerwą imperializmu, stała się natomiast filarem pokoju nie tylko na Wschodzie, ale i na całym świecie.

Decydujący front walki o pokój rozpostarł się jednak w Europie. Mimo całej powagi sytuacji w ostatnich tygodniach należy stwierdzić, że rok ubiegły i na tym odcinku przyniósł nam ogromne sukcesy, a wrogom naszym — klęskę. Klęski tym bardziej dotkliwie, że robiono wszystko, by ich uniknąć.

SLABOŚĆ „POLITYKI SIŁY”

Wehrmacht!... Słowo nabrzmiałe ponurą treścią, słowo — zwiastun nowej wojny, słowo budzące w ludach Europy nienawiść. Trzeba widzieć, że za słowem tym kryje się realna siła. Trzeba też jednak widzieć, że jest to siła skazana na zagładę. Oto w Bonn setki generałów, z których każdy wygrał w swym życiu co najmniej jedną wielką bitwę, a wszyscy razem przegrali dwie największe w dziejach świata wojny — szuka dziś błędów w starych planach podboju i ludzi się, że opracuje plany „skuteczniejsze”. Żydy te podtrzymują inni generałowie, rezydujący w dalekim Waszyngtonie, panowie władający nad Renem milionami ton węgla i stali, właściciele miliardowych kont w Nowym Jorku, Paryżu, Londynie i Rzymie. Zdaje im się, że mają za sobą wszystkich: sprzedajne rządy, złoza surowców strategicznych, fabryki broni, stopy pieniędzy, naukę, która rozbiła atomy i technikę, która je uwiecznia w stalowych skorupach bomb. Nie liczą jednak — jak widać — tego, że przeciw sobie mają ludzi. Miliony prostych ludzi. I rok 1954 pokazał to z mocą, nie dającą się wyrazić słowami.

Zbyt długi jest rejestr dowodów woli tych ludzi, by móc je tu wyliczać. Synteze ich stanowi jednak fakt, że oto po raz pierwszy w dziejach kapitalizmu parlament burżuazyjny musiał ugiąć się przed wola narodu i to nie w jakiejś pobocznej kwestii, lecz zasadniczej, przynajmniej. EWO została odrzucona.

Odrzucony został również drugi wariant układu o remilitaryzacji Niemiec zach., mimo że Mendes France dwoił się i troił, by tylko przenieść plany swych mocodawców. Decyzja parlamentu francuskiego z 24 grudnia, na którą ostateczny wpływ wywarły dwa czynniki: wola narodu francuskiego oraz niebezpieczeństwo pozostania z imperializmem niemieckim sam na sam (po anulowaniu układu francusko - radzieckiego) — pogrzebała de facto amerykańsko-bońskie plany uzbrojenia Niemiec zach. W chwili gdy oddajemy ten artykuł do druku, depesze prasowe przynoszą wiadomości o nowych manewrach Mendes France’a, o brutalnym szantażu Waszyngtonu

jedynym elementem sytuacji, którą od pewnego czasu określa się jako kryzys amerykańskiej „polityki siły”.

Rok 1954 przyniósł rokowania w sprawie energii atomowej. Nie doprowadziły one co prawda jeszcze do powszechnego zakazu broni masowego zniszczenia, ale sam fakt, że USA musiały przyjąć radzieckie propozycje rokowań w tej sprawie świadczy, jak bardzo zmienił się kli-

mat Warszawy, Wrocławia, Łodzi, Lublina — Olsztyn także buduje swoją wyższą uczelnię i miasteczko studenckie. Wyższa Szkoła Rolnicza w Kortowie, która pracuje już od kilku lat, rozbudowuje się, w pięknym mazurskim krajobrazie coraz wyraźniej widnieją jej kontury.

Dwa kilometry od Olsztyna, między łagodnymi wzgórzami, w prawo od pięknej asfaltowej szosy wśród liściastego starodrzewu nad jeziorem — rozlokował się kilkunastokrotny plac budowy.

Dokładne plany są już sporządzone w pracowniach warszawskich architektów. Grupa architektów z „Miastoprojekt Specjalistyczne” mozoili się nad tym zadaniem od dwu lat. A zadanie nie jest łatwe. Dawny szpital psychiatryczny z końca XIX wieku trzeba przebudować i rozbudować dla potrzeb Wyższej Szkoły Rolniczej. Warunki bardzo trudne, sytuacja w krajobrazie wyjątkowo piękna.

W kilkudziesięciohektarowym obszarze łącznie z majątkami doświadczałymi WSR, prawie 30 hektarów stanowi teren macierzystej uczelni. Teren ten podzielony jest na 4 odrębne grupy. Wśród bogatej zieleni grupa budynków uczelnianych, Nieco poniżej — szosa i kortowskie osiedle mieszkalne dla studentów. Na południowym stoku wzgórz uczelnianego, opadającego łagodnie w stronę jeziora, projektowany jest ogród botaniczny. Wreszcie nad jeziorem opartym o ścianę lasu rozciągają się tereny sportowe.

Wszystkie te cztery grupy wiązały się sobą alejami i ścieżkami biegnącymi swobodnie przez las — park. WSR Kortowo kształcić będzie 3 tys. studentów, nie licząc kursów zaocznych. Naukę prowadzą obecnie cztery wydziały: rolny, mleczarski, zootechniczny i rybactwo. Wydziały te a nawet poszczególne zakłady rolnicze zostaną w odrębnych pawilonach.

Na najbliższym wzniesieniu terenu od strony Olsztyna stanie budynek Rektoratu z aulą i pomieszczeniami dla całej administracji. W krajobrazie stanowić on będzie właściwy akcent Kortowa. W pobliżu Rektoratu stanie dość znaczna

KORTOWO na deskach architektów

grupa budynków poszczególnych wydziałów, obudowując wraz z Rektoratem przestrzenny dziedziniec rekreacyjny uczelni o wymiarach 100 na 130 m, opadający lekko tarasami budynków w stronę parku — lasu. W budynkach tych znajdą pomieszczenia pracowni poszczególnych zakładów naukowych, audytoria i specjalne audytoria demonstracyjne.

Na tle lasu na przeciwnym biegunie osi kompozycyjnej, biegnącej środkiem dziedzińca bliżej osiedla mieszkalnego — stanie zespół budynków jadalni. Studenci będą mieli do dyspozycji: dwie duże sale jadalne, w każdej — 600 miejsc przy stołach. Z sal urzędzone zostanie wyjście na taras tej samej wielkości co sala, latem ze stołkami na wolnym powietrzu. Jadalnię można będzie także użytkować na zabawy studenckie. Ośrodek ten, łącznie ze specjalnym bufetem — barem, salami restauracji i klubem po profesorski, czynny będzie cały dzień. Poza budynkami powstanie jedna z największych w Polsce kuchnia — fabryka, w której przetwarzać się będzie około 5 ton produktów żywnościowych dziennie.

Z najbliższego terenu położonego przed restauracją — stołową mijając z lewej strony starą kotłownię, wejdziemy w cieniisty park — las, za którym nad jeziorem rozciąga się osiedle mieszkaniowe. Idąc z dziedzińca uczelni w tym samym kierunku lewą stroną bliżej szosy — minimy wydział zootechniki i rybactwa z własnym, obudowanym z trzech stron dziedzińcem, ze sztucznymi basenami wodnymi i kwietnikami. W budynku tym poza salami ćwiczeń, laboratorium będą się mieścić dwa audytoria amfiteatralne po 300 miejsc. Jedno z nich to specjalne audytorium demonstracyjne z areną do demonstrowania podczas zajęć żywych zwierząt. Naprzeciw wydziału zootechniki znajdzie się już wykonany budynek Instytutu

Rybactwa Śródlądowego, a za nim, już nieco w lesie, mniejszy budynek Ośrodka Zdrowia dla studentów z apteką i małym szpitalikiem.

Abymy dojdę z placu przed stołową do osiedla mieszkalnego studentów trzeba zaledwie 3 minut. Studenci będą mieszkali w dziewięciu domach. W każdym — 200 osób, po dwie lub trzy osoby w pokoju wyposażonym w szafy w ścianach, wygodne sprzęty itd. Każdy dom studencki będzie posiadał specjalne pokoje do nauki. Na piętrach znajdą się obszerne umywalnie, natryski, pokoje do czyszczenia odzieży i pomieszczenia z kuchenkami gazowymi do podręcznego sporządzania posiłków. Między domami mieszkalnymi projektowane są skwery z małymi boiskami do siatkówki. W grupie tych budynków — otoczony tarasami, nad brzegiem jeziora stanie Dom Społeczny Studentów WSR. Jego położenie zapewnia wspaniałe widoki z okien i tarasów na rozległe jezioro, lesiste zbocze i barwny ogród botaniczny.

Dom Społeczny — to przede wszystkim obszerna sala o uniwersalnym przeznaczeniu, jako sala teatralna, kinowa, widowiskowa i sala zabaw z wysokim foyer i pokojami klubowymi.

W osobnej grupie znajdują się pomieszczenia skupiające bar mlecz-

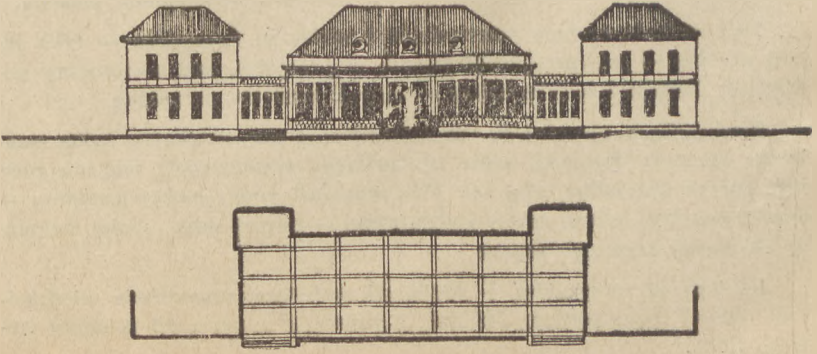
ny, sklepy oraz punkty usługowe, jak: fryzjer, szew, krawiec itp.

Nieco w bok od Domu Społecznego nad jeziorem rozłożą się tereny sportowe, a więc: boisko z naturalnymi ziemnymi trybunami, osłonięty ścianą lasu. Na jeziore moło i przystań żeglarska. Na brzegu — szatnia i hangary dla łodzi i bojerów. Z ośrodka sportowego przebiegać będą szlaki turystyczne w pobliskie lasy, zimą zaś trasy narciarskie na okoliczne wzgórza.

Sporty letnie w zimie uprawiane będą w dwu halach sportowych i na krytym basenie pływackim. Zespół ten stanie bliżej nowej pętli trolejbusowej i bliżej budynków uczelnianych. Sale te bowiem wykorzystywane będą przez studentów między wykładami oraz częściowo przez amatorów sportu dojeżdżających z miasta.

Niektóre z projektów są już zrealizowane. Do nich należą: 3 domy mieszkalne, w których mieszka około 700 studentów oraz część zakładów wydziału rolnego. Obecnie buduje się wydział zootechniki i rybactwa. W bież. roku ruszy budowa restauracji — stołowej, zakładów maszynowni wydziału rolnego i dalsze internaty. Całe kortowskie miasteczko studenckie zostanie ukończone w planie 5-letnim.

Inż. arch. ANDRZEJ BEGALE



Projekt budynku restauracji-stołówki

Czy pamiętacie treść artykułu kol. Wiesława Głowackiego „Nie wykorzystanie możliwości” zamieszczonego w ostatnim numerze POPROSTU? Mnie o sobiście utkwiły w pamięci prawie wszystkie fragmenty. I to nie tyle może z powodu rewelacyjnej treści artykułu, ile raczej dlatego, że każde prawie jego zdanie budzi we mnie zasadniczy sprzeciw.

Przystępując do napisania odpowiedzi kol. Głowackiemu zamierzam początkowo przeprowadzić tożelną polemikę — rozprawić się ze wszystkimi niesłusznymi tezami i sformułowaniami. Szybko zorientowałem się jednak, jak mało realne jest urzeczywistnienie takiego zamierzenia na kilku stronach maszynopisu i dlatego zdecydowałem skoncentrować się na dwóch tylko — jednak centralnych — zagadnieniach: na ocenie sytuacji w organizacji zetem-powskiej i ocenie Plenum Zarządu Stołecznego, o którym artykuł w zasadzie traktował.

*

Na wstępie wspomnianego artykułu kol. Głowacki kreśli popularną historię pracy organizacji zetem-powskiej na wyższych uczelniach. Jak każdy szanujący się historyk periodyzuje badany przez siebie okres, wyróżniając w nim trzy etapy:

Etap pierwszy — **heroiczny** — walka o wyparcie wroga klasowego z wyższych uczelni.

Etap drugi — **produkcyjny** — walka o przepustowość wyższych uczelni, o wysoki poziom fachowych kadr.

Etap trzeci, ostatni — **wychowawczy** — walka o wysoki poziom ideowy kadr, o światopogląd.

Nie wydaje mi się celowe analizowanie i wykazywanie oczywistej niesłuszności tego uproszczonego schematu.

Daleko istotniejsze natomiast dla dalszych rozważań będzie omówienie innego problemu: jak kol. Głowacki pojmuje mechanizm przejścia od jednego okresu do drugiego, od jednego etapu zadań do drugiego?

RYSZARD TURSKI

Optymistyczny kryzys

Autor „Nie wykorzystanych możliwości” sprowadza cały ten mechanizm wyłącznie do potrzeb... ekonomicznego i technicznego budownictwa socjalistycznego. Dla ludzi, dla mas członkowskich organizacji, dla ich spraw i konfliktów nie ma miejsca w nakreślonym przez Głowackiego mechanizmie zmian zadań i treści pracy zetem-powskiej. Członkowie organizacji i ich wzrost, rozwój polityczny i ideologiczny nie stanowią w tym mechanizmie nawet jednej jakiegś sprężyny.

Tak więc urażeni zostaliśmy pierwszą, olśniewającą prawdą: rozwój zadań, treści pracy organizacji zetem-powskiej określane jest wyłącznie, bezpośrednio, automatycznie przez aktualne potrzeby ekonomiczne — techniczne.

Ponieważ myślenie takimi „głęboko marksistowskimi” kategoriami (a co gorsze i oparte na nim praktyczne działanie) jest w naszej organizacji — jak mi się wydaje — dość jeszcze rozpowszechnione, celowe będzie chyba poświęcić mu nieco więcej uwagi.

Organizacja zetem-powska jest niewątpliwie instytucjonalną częścią naszej nadbudowy. Z tego względu nie może nie podlegać zasadniczemu wpływowi stosunków społeczno - ekonomicznych, nie może im nie służyć. Tego wpływu i służebności nie można jednak pojmować według takiego mniej więcej wulgarnego schematu: każda zmiana w ekonomice powoduje automatycznie zmianę treści pracy organizacji zetem-powskiej — rozwój pracy organizacji zetem-powskiej to po prostu proces przystosowywania się do zmian w potrzebach ekonomiki.

Schemat ten jest niesłuszny z jednego zasadniczego względu.

Oto celem pracy organizacji zetem-powskiej jest kształtowanie

przekonań politycznych i ideologicznych ludzi. Kształtowanie to odbywa się zaś, jak z praktyki wiadomo, w bezkompromisowej walce ze starymi poglądami i formami ideologicznymi — odbywa się w procesie ujawniania i przewycięzania wątpliwości i przeróżnych konfliktów w świadomości człowieka. Praca organizacji zetem-powskiej dokonuje się więc w sferze ideologii, świadomości, która rozwija się względnie samodzielnie, która — mówiąc obrazowo — nie jest cieniem, bierną kopią stosunków społecznych lecz organizmem o skomplikowanej budowie, złożonych prawach funkcjonowania itd., wyrosłym na życiodajnej glebie warunków ekonomicznych i klasowych.

A zatem praca organizacji zetem-powskiej określana jest nie tylko i nie w głównej mierze bezpośrednio przez prawa aktualnej produkcji, ale przede wszystkim przez prawa walki nowych poglądów i instytucji ideologicznych ze starymi, przez prawa rozwoju nowej, socjalistycznej ideologii.

Zapominanie o tej prostej prawdzie prowadzić musi do zatracenia z oczu głównego celu pracy organizacji zetem-powskiej — wychowania człowieka o socjalistycznej świadomości. Prowadzić musi do odrywania zadań od ludzi — jak to klasycznie robi kol. Głowacki — absolutyzowania zadań jakie przed ludźmi stoją kosztem degradowania ich samych, do konstruowania jakiegś schematu, w których nie ma miejsca dla członków organizacji.

Wydaje mi się, że ten wulgarny materializm (z reguły naturalnie nie uświadamiany) jest podstawowym źródłem ideologicznym takich zjawisk w naszej organizacji jak szablon, nuda, oderwanie od życia, kampanijność itd.

Zrodził on w naszej organizacji podobne owoce jak i w literaturze „produkcyjnej” — uproszczone traktowanie psychiki, świadomości człowieka, metod kształtowania nowych poglądów ideologicznych ludzi. Doprowadził w ostateczności do tego, że żywą pracę z ludźmi zastępowały różne kampanijne akcje, mające w praktycznym wykonaniu raczej luźny związek z wychowywaniem ludzi.

*

Autor artykułu, z którym polemizuję — już na początku swoich wywodów udał się na poszukiwanie „nowego” w naszej organizacji. Wędrowka ta zakończyła się fiaskiem. Zrozpaczony daremny poszukiwaniem, kol. Głowacki orzeka ostatecznie, że tak głośno reklamowane przez niego „nowe” na naszych wyższych uczelniach to po prostu... konieczność pogłębienia pracy ideowo - wychowawczej. Kolego Głowacki, czy rzeczywiście sądzicie, że czytelnicy są nieskończenie naiwni?

Kolega Głowacki nie mógł znaleźć nowego na wyższych uczelniach, błądził bowiem po wertepach. Zawędrował tam dlatego, że nie posługiwał się taką niezawodną busołą w tym przypadku, jaką są ludzie, członkowie organizacji, których w swym artykule zagubił.

Nowe zaś, rzeczywiście zasadniczo nowe elementy w organizacji zetem-powskiej można dostrzec nie z pozycji apriorycznie konstruowanych wulgarnych schematów, w których jest wszystko... oprócz ludzi i ich spraw, lecz właśnie poprzez pryzmat ludzi — spraw, problemów i konfliktów ich dążących.

Cóż to jest zatem to nowe w naszej organizacji?

Nowe, zasadniczo nowe zjawisko w organizacji zetem-powskiej — które ze szczególną intensywnością ujawniło się i rozwija w okresie przedzjazdowym — to oddolna krytyka dotychczasowej treści i form pracy organizacji, powszechne niezadowolenie z nich, nierządnie stanowcze występowanie przeciwko nim.

Krytyka dotychczasowych treści i metod pracy organizacji zetem-powskiej jest tak powszechna i gruntowna, że śmiało chyba można mówić o ich kryzysie.

Nie trzeba kolego Głowacki obawiać się panicznie pewnych słów, takich choćby jak np. „kryzys”. Są różne kryzysy — kryzysy gnicia i kryzysy wzrostu. Kryzys dotychczasowych treści i form pracy organizacji zetem-powskiej nie jest kryzysem gnicia lecz kryzysem burzliwego rozwoju organizacji. Jest to kryzys nadzwyczaj cenny, twórczy — kryzys optymistyczny.

Sila naszej organizacji — jak słusznie ciągle powtarzamy — polega na aktywności politycznej jej członków. A czyż powszechnie wyrażane niezadowolenie, krytyka dotychczasowej pracy, postulowanie, coraz głębsze ujawnianie troski, serdeczne troski o sprawy organizacji nie są świadectwem burzliwego jej rozwoju?

Sprawą zasadniczej wagi jest umieć dostrzec ten proces, szczególnie obecnie, w okresie przedzjazdowym i zrobić wszystko dla dalszego jego pogłębienia. Nie może być bardziej przestępcze w stosunku do naszej organizacji jak próby hamowania, dławienia tego procesu. (A takie wypadki zdarzają się ze strony pewnej części ślepego politycznie aktywu i to niestety niejednokrotnie).

Zastanawiałem się nad przyczynami tak drastycznego ujawnienia się właśnie ostatnio kryzysu metod pracy naszej organizacji i doszedłem do wniosku, że podstawową przyczyną są inni, nowi ludzie, którzy przychodzą obecnie na wyższe uczelnie.

W jakim sensie są to inni, nowi ludzie?

W ocenie tych ludzi również zasadniczo różni się z kolegą Głowackim. Widzi on w nich po prostu uczniów, których różni wyciowie muszą oprowadzać za rączkę, ludzi mocno niedojrzałych, bez ugruntowanych zainteresowań itd. przeciwstawia im starą gwardię z lat poprzednich, stanowiącą jakoby pod każdym względem zapleczenie obecnie rozpoczynających studia młodych ludzi.

Stanowczo nie mogę zgodzić się z taką oceną.

Młodzież rozpoczynająca obecnie studia, mimo znacznie młodszego wieku, mniejszej dojrzałości życiowej, reprezentuje zasadniczo wyższą dojrzałość polityczną od tej młodzieży, która rozpoczynała studia w latach 1948-50.

Byłem wśród tych pierwszoroczniaków, którzy wstąpili na wyższe uczelnie w roku 1949. Co było zasadniczym problemem środowiska, w którym się znalazłem? Czy był to jakiś problem ideologiczny, światopoglądowy, który powstał w oparciu o rozstrzygnięte już pewne problemy polityczne? Bynajmniej! Problem nurtujący przede wszystkim nasze środowisko był problemem — powiedziałbym — elementarnym. Chodziło po prostu o stosunek do nowej rzeczywistości poli-

tycznej (jak jeszcze wówczas się mówiło), chodziło głównie o ustalenie politycznego stosunku młodego człowieka do ustroju ludowego.

Jakież inne wątpliwości, konflikty dręcza młodzież rozpoczynającą obecnie wyższe studia. Tu już nie chodzi o ustalenie stosunku do władzy ludowej (bo ten na skutek ogólnego rozwoju politycznego całego naszego społeczeństwa jest już w zasadzie ukształtowany) ale o ustalenie stosunku bardziej ogólnego i konkretnego zarazem: stosunku człowieka do świata w ogóle. Chodzi zatem o sprawę bardziej złożoną, o sprawę światopoglądu.

Czy dziwne jest, że tym nowym, bardziej dojrzałym politycznie ludzom (bardziej dojrzałym, kolego, Głowacki) nie wystarczą już stare treści i formy pracy organizacji zetem-powskiej na wyższych uczelniach, przystosowane do innych zupełnie warunków? Ludzie ci chcą w naszej organizacji nauczyć się żyć — lepiej i piękniej — i organizacja musi zapewniać realizację tego marzenia, musi dać im jakąś namiastkę, ale pełne życie człowieka epoki socjalizmu.

*

I na zakończenie parę słów jeszcze o Plenum.

Wyszedłem z niego głęboko rozgoryczony. Temat brzmiał: „Kształtowanie świadomości socjalistycznej u studentów” — a więc bardzo obiecująco. Niestety, i referat i dyskusja i przyjęta przez Plenum uchwała doszczętnie wyperswadowały mi jakiegokolwiek nadzieję.

Referat napisany był najprostszą, tradycyjnie utartą już eklektyczną metodą. Metodą konstataowania pewnych powierzchownych faktów (ze wszelkich możliwych dziedzin życia studenckiego) bez jakiegokolwiek śmielszych myśli, aspiracji do analizy, do wyciągania uogólniających wniosków. Ten sam charakter miała w tych warunkach oczywiście i dyskusja (śmiertelnie nudna). W wyniku tego procesu porodowego powstał niesłychanie deklaratywny twór — uchwała Plenum, mająca stanowić wytyczne dla pracy organizacji zetem-powskiej warszawskich wyższych uczelni. O stopniu jej deklaratywności świadczyć może taki oto chociażby fragment, dotyczący jednego z centralnych zagadnień kształtowania socjalistycznej świadomości.

„Walczyć o wysoki poziom kulturalny studenta, o wysoką znajomość przezeń literatury, muzyki i sztuki”.

Czy można ludzi się, że ten utarty slogan, powtórzony jeszcze raz, zmieni w jakimkolwiek stopniu na lepsze pracę organizacji uczelnianych?

Wychodziłem z sali obrad z jednym zasadniczym wrażeniem: uczestnicy Plenum błakali się beznadziejnie w zaczerpniętym kręgu przeżytych treści i form pracy. Plenum nie pomogło im wychylić się z tego kręgu, dojrzeć w całej okazałości nowego na naszych wyższych uczelniach — nowych ludzi i ich nowych wyższych potrzeb.

PS. Zapomniałem o jednej jeszcze pretensji, jaką mam do kol. Głowackiego. Uważam, że jego artykuł „Nie wykorzystane możliwości” zawierający tylko pewne aluzje krytyczne pod adresem Plenum, które należało ocenić bardzo krytycznie — był lakierowaniem „rzeczywistości Plenum”. Sądę, że lakiernictwo dotyczące nawet tak wysoko postawionej instytucji jak Plenum Zarządu Stołecznego, jest nikomu niepotrzebne.

Czy aktywista ma prawo mieć wątpliwości?

Przyjeżdżając z wykopków w lokalu Zarządu Uczelnianego ZMP Uniwersytetu Toruńskiego zebrała się grupa aktywistów. Rozmowa obracała się wokół wspomnień z wykopków, wokół trudności w pracy zetem-powskiej na uczelni, gadano i o miłości — jednym słowem była to typowa, swobodna rozmowa przeskakująca z tematu na temat. W jednym punkcie dyskusja rozpalila się do białości. Henryk poruszył sprawę ludności autochtonicznej, z którą zetknęli się uczestnicy brygad na Ziemiach Odzyskanych.

Na pozór wydawać by się mogło, że problem ludności autochtonicznej na Ziemiach Odzyskanych jest przynajmniej dla aktywu sprawą zrozumiałą. Przed wyjazdem na wykopki i dla Henryka teoretycznie było to bardzo proste (nawet chyba za proste), kiedy jednak zetknął się osobście z tymi ludźmi, logiczny na pozór sposób rozumowania wziął w łeb. Zaskoczył go fakt, że wielu z nich między sobą rozmawia po niemiecku, że były pewne przejawy nieufności w stosunku do studentów-zetem-powców itp. Rzeczywistość okazała się inna, niż Henryk sobie ją wyobrażał. Zrodziły się wątpliwości, czy słuszne jest uważanie ich za Polaków.

Co by się stało, gdyby Henryk zetknął się z takim zdaniem, jakie w przytoczonej wyżej rozmowie sam wygłaszał w swojej grupie studenckiej? Można przypuszczać, że z obowiązku aktywisty zajmowałby właściwie stanowisko. Nie warto chyba jednak nawet stawiać pytania, czy potrafiłby przekonać, że jest ono rzeczywiście słuszne. Niewątpliwie skończyłoby się na „bojowym” nastręczeniu oponenta.

Powstaje problem — jakie stanowisko w stosunku do Heńka ma zająć instancja organizacji — w tym wypadku Zarząd Uczelniany. Przecież Heńek w poważnej sprawie nie zgadza się z poglądami partii, w bardzo ważnej sprawie odbiega od leninizmu. Jest aktywistą, a czy aktywista „ma prawo” mieć niejasności?

Wydaje mi się, że teoretyczne zastanawianie się nad tym, czy ma prawo czy nie, jest bezsensowne. Faktem jest, że aktyw ZMP-owski pracujący w grupach, w kołach ZMP, a nawet i w Zarządach Uczelnianych nie rozumie wielu spraw. I to jest prawidłowe, bo polityki nie poznaje się przez cudowne objawienie następujące po wypełnieniu ankiety dla ZU, ale przez ciągłe studiowanie. Nieprawidłowym zjawiskiem natomiast jest to, że wiele instancji organizacyjnych nie widzi tego i uważa, że aktyw jest jedynie po to, by sam prowadził pracę polityczną wśród studentów, a nie widzi jako głównego zdania dla siebie — pracy z tym aktywem. Czy objawem takiego stanowiska nie jest lekceważący stosunek do szkolenia aktywu, które prowadzi się często na marginesie pracy organizacyjnej?

Dobrze się stało, że Heńek miał odwagę zreferować swoje wątpliwości, wiele z tej dyskusji wyniósł,

ale przecież ilu jest aktywistów, którzy obawialiby się wyjść z takimi poglądami, by nie przyczepiono im etykiety wroga lub „niepewnego”.

Jednocześnie Heńek przyznał, że ze sprawą tą odważył się wyjść jedynie w swobodnej rozmowie. Na oficjalnym zebraniu szkoleniowym nie poruszyłby tego problemu. Nie świadczy to najlepiej o jego postawie, ale z drugiej strony, czy ten fakt nie zobowiązuje do zastanowienia się nad formami szkolenia? Na pewno jest źle, jeżeli forma zebrania szkoleniowego nie sprzyja powstawaniu atmosfery szczerości.

Przyznam się, że te nieliczne zebrania szkoleniowe, w których uczestniczyłem, bardzo mi przypominały słabe seminaria uniwersyteckie, na których wszyscy ze wszystkim się zgadzają, jeden drugiego popiera, a jednocześnie odczuwa się atmosferę niezaangażowania uczestników seminarium i temat dyskusji zbywa formułkami.

W POPROSTU trwa teraz dyskusja nad zajęciami z podstaw marksizmu-leninizmu pod hasłem „Formułki czy światopogląd”. Wydaje mi się, że również wiele naszych instancji zetem-powskich powinno pod tym hasłem ocenić wyniki szkolenia.

Trzeba przyznać, że dyskusja nad sprawą autochtonów przyniosła korzyści nie tylko Heńkowi, ale i Zarządowi Uczelnianemu ZMP. Zwróciła ona uwagę na jedno z podstawowych źródeł niedomagań pracy zetem-powskiej na uczelni — na słabość aktywu. Pracą z aktywem zajął się ZU rzetelnie. Obecnie przy Zarządzie Uczelnianym organizuje się „gabinet aktywisty”, zmieniono też formy szkolenia. W miejsce wieczornych, wielogodzinnych zebrań szkoleniowych, wprowadza się na toruński uczelnia tzw. „niedziele aktywu”, których program przewiduje poranek filmowy, następnie dyskusję z dziennikarzami z „Gazety Pomorskiej” na temat sytuacji międzynarodowej, lub ważnych wydarzeń politycznych wewnątrz kraju, potem nastąpi dyskusja lub wykład specjalisty na zasadniczy temat danej „niedzieli” — reszta czasu ma być poświęcona swobodnym dyskusjom, podobnym do tej, z której wyłonił się problem autochtonów.

Wprowadzenie „niedzieli aktywu” ma na celu zlikwidowanie oficjalnego, sztywnego charakteru zebrań szkoleniowych, ma na celu stworzenie takiej atmosfery, by każdy aktywista występował ze swoimi najbardziej ukrytymi nawet wątpliwościami i by przez wyklady czy dyskusje trudniejsze i ważniejsze z nich można od razu wyjaśnić. „Niedziele” mają również na celu wzajemne zbliżenie i lepsze poznanie się aktywistów.

Czy właśnie ta forma przyniesie pożądane wyniki — wykaże praktyka, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że zaniedbanie pracy z aktywem, obniżanie poziomu tej pracy przynosi organizacji ogromne szkody.

**ZYGMUNT NAJDOWSKI
UMK — Toruń**



Dyskutujemy nad projektem Statutu.

Foto — T. Jaszczyk

O głos „szarego” studenta

Sprawa zaczęła się prosto: na zebranie sprawozdawczo - wyborcze koła ZMP III roku wydziału handlu WSE w Poznaniu nie przyszła blisko połowa członków. W dyskusji — kilka nieciekawych głosów... wszyscy obecni byli zgodni co do jednego — skończyć jak najprędzej zebranie i rozjechać się do domów.

Nowowybrany zarząd stanął przed faktem, który zdawał się z góry przekreślać wszelkie możliwości skutecznej pracy: aktywność ogromnej większości członków koła bardzo bliska jest zeru, część z nich trzeba nazwać po prostu „martwymi duszami”. Nie ich nie obchodzi życie naszej organizacji — jeśli zaś mają w jakiegś sprawie własne zdanie — nie wystąpią z nim na zebraniu, nie mówią już o pisaniu do prasy młodzieżowej.

Wielu członków mojego koła ogranicza swoją łączność z organizacją do noszenia legitymacji, a są i tacy, którym zabrakło czasu lub chęci, aby załatwić przeniesienie czy postarać się o fotografię do legitymacji (np. kol. kol. Alabrudziński, Mazur). Koledzy ci po przyjeździe na studia wyrzekli się organizacji, uznali, że jest im ona niepotrzebna.

Można by powiedzieć, że cała wi-na spada na tych kolegów — przecież nikt nie będzie dla nich niańką, która za rękę prowadzi ich do organizacji. Wydaje mi się jednak, że takie postawienie sprawy byłoby fałszywym uproszczeniem. Brak aktywności u tak wielu członków organizacji musi mieć swoje głę-

sze źródła. Warto się nad nimi zastanowić, szczególnie obecnie, po ogłoszeniu projektu statutu ZMP.

Niedawno zorganizowaliśmy spotkanie z sekretarzem KW PZPR towarzyszem Krasko. Padło wówczas takie pytanie: jak poradzić na to, że młodzież w niektórych „kołach” czuje się źle, obco, nie odczuwa potrzeby aktywnej pracy w ZMP, nie przychodzi do Związku ze swymi troskami, bólami czy wątpliwościami?

*

Projekt statutu wysuwa na czoło wszystkich spraw — pracę koła ZMP, pracę z szeregowymi członkami organizacji. Tymczasem jak mało dotychczas liczyliśmy się ze zdaniem „szarego” członka! Jak często odgórnie ustalaliśmy tematykę zebrań, jak mało wiedzieliśmy, czym interesuje się, czym żyje, przeciętny zetem-powiec. Wydaje mi się, że oderwanie się części aktywu od „masy członkowskiej” to przyczyna nr 1 obecnej sytuacji w wielu kołach ZMP.

Punktem wyjścia do zmiany na lepsze powinno być, moim zdaniem, zbadanie „popytu” członków naszego koła. Jeżeli bowiem chcemy nie „kierować” i wychowywać od góry” (o skutkach takiej pracy pisałem na wstępie) a być przyjacielem członków swego koła i wychowywać się razem z nimi — musimy najpierw wiedzieć jakie problemy ich nurtują, o czym młodzież dyskutuje, co ją najbardziej interesuje. A że zainteresowań tych jest wiele, może świadczyć wspomniane już zebranie z tow. Krasko. Padło na nim ponad 30 problemowych

pytań, a już sama obecność sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Partii wyzwoliła bardzo dużo aktywności nie spotykanej dotychczas na naszych zebraniach.

Wywieszona w ostatnich dniach skrzynka pytań w gabinecie marksizmu - leninizmu przyniosła kilka b. ciekawych zagadnień, nad wyjaśnieniem których musieliśmy się sporo nabiedzić katedra marksizmu wraz z tzw. „Radą Gabinetu”. Okazuje się, że młodzież chce dyskutować, że nie jest taka bierna, jakby się wydawało. Chce znać swoje perspektywy, wiedzieć, jak ma być, jakimi normami moralnymi się kierować i dlaczego. Ma również swoje zdanie o organizacji, o brakach w jej pracy.

Skrzynka pytań dała nam materiał dla naszych zebrań szkoleniowych. Rezultaty nie kawały na siebie długo czekać — właściwa tematyka zebrania szkoleniowego np. na jednej z grup III r. wydziału handlu spowodowała, że zebranie było ciekawe, dyskusyjne i wyłoniło wiele wniosków dla dalszej pracy grupy.

Gabinet marksizmu - leninizmu ze swojej strony organizuje „wiczory pytań i odpowiedzi”. W ten sposób, przyjmując za punkt wyjścia problemy poruszone przez samą młodzież, możemy zainteresować ją szerszymi sprawami, skuteczniej na nią oddziaływać. Członkowie koła widząc zaś, że organizacja zajmuje się tym, co ich żywo obchodzi i interesuje — coraz chętniej pracując w ZMP, zaczynają czuć się odpowiedzialni za swoje koło czy grupę. A o to przecież chodzi.

**ZYGMUNT SABIŁO
WSE — Poznań**

Kiedy w Polsce szalał sanacyjny terror, a hitleryzm szykował się do zamachu na Europę, wielu najbardziej świadomych i patriotycznych Polaków, a wśród nich i studentów, spieszyło z pomocą ludowi hiszpańskiemu zmagającemu się z nawałą faszyzmu, żywiąc głębokie przekonanie, że na frontach Madrytu i Ebro waży się losy nie tylko Hiszpanii, lecz również ojczyzny Polski, całego świata.

Studenci — uczestnicy bojów w Hiszpanii zapisali jedną z piękniejszych kart w dziejach postępowego, rewolucyjnego ruchu polskiej młodzieży akademickiej. Do tych chlubnych tradycji bohaterów KZM-owców nawiązuje w swej działalności nasza organizacja, Związek Młodzieży Polskiej, związek młodzieży walczącej u boku Partii o ostateczne zwycięstwo tej samej sprawy, która przed laty wezwala młodych patriotów i internacjonalistów na ziemię hiszpańską.

Publikujemy poniżej wspomnienia towarzysza JULIANA BIEŁOUSA, który jako student, członek KZM walczył w szeregach Brygad Międzynarodowych podczas wojny domowej w Hiszpanii.

Grenoble, w lipcu 1936 r.

Z bierałem się właśnie na wykład, kiedy wpadł F., Hiszpan, kolega z mojego roku. Roztrzęsiony do ostateczności. Ponoć faszystowsy generałowie podnieśli bunt przeciwko rządowi Frontu Ludowego i maszerują z wojskiem na Madryt. Nawet dziecko zrozumie — czyja to robota — Hitler i Mussolini maczali w tym palce. Tak, to było do przewidzenia...

Cała Politechnika o niczym innym nie mówi. Rebelia generała Francisco Franco jest nieistotnym faktem. Hiszpanie stanowią tu, w Grenoble, najliczniejszą po Włochach grupę narodowościową wśród studentów. Wszyscy nagabują ich o wiadomości z Pirenejów, tak jak gdyby oni mogli wiedzieć coś więcej. Na zebraniu sekcji studenckiej wyjaśniliśmy wyczerpująco sytuację. Przewrót Franco ma na celu obalenie Republiki Hiszpańskiej. Jeśli się powiedzie — stanowiąc sygnał do podobnych przewrótów w innych krajach Europy. Front Ludowy w Hiszpanii jest w niebezpieczeństwie, w niebezpieczeństwie jest republika. Ale wojna w Hiszpanii to nie tylko sprawa hiszpańska...

Wysłaliśmy z zebrania podniecenie i rozgorączkowanie.

Dziś zapadła ostateczna decyzja. Jedziemy do Hiszpanii walczyć przeciwko Franco. To nasz obowiązek. Sprawę omawiano na zebraniu organizacji. Towarzysze gorąco przyjęli naszą propozycję. Pierwsza grupa liczy 10 osób: 8 kolegów Hiszpanów, kolega z Polski i ja. Termin wyjazdu już ustalony — 25 sierpnia wieczorem.

Barcelona, w sierpniu 1936 r.

A więc jesteśmy na hiszpańskiej ziemi! Barceloński Komitet Młodzieży przyjął nas nad wyraz serdecznie. Skierowano nas do koszar „Carlos Marx” i włączono do 38 centurii Milicji Antyfaszystowskiej, formowanej przez Zjednoczoną Partię Socjalistyczną Katalonii. Każda bowiem organizacja i partia Frontu Ludowego tworzy własną milicję. Mundury mamy jednakowe, można nas odróżnić jedynie po znaczkach organizacji. Tylko anarchiści wyróżniają się czarno-czerwonymi furażerkami, my nosimy furażerki koloru khaki z frędzelkiem... W naszej centurii przeważają Katalończycy, młodzi chłopcy od 16 lat począwszy, jest także kilka dziewcząt. Okazało się, że nasza dziesiątka z Grenoble składa się z ludzi w „poważnym” wieku. Zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić — są to wspaniali, kipiący energią, idealni ludzie.

Upał niesamowity. Cały prawie dzień trwają zajęcia wojskowe: musztra i ćwiczenia taktyczne. Jedynym tematem rozmów centurii są rozważania — kiedy nareszcie wyruszymy na front. Dziś znowu udaliśmy się delegacja do dowództwa. Uspokojono nas zapewnieniem, że już za kilka dni...

Nareszcie! Jesteśmy nieprzypadkiem prawie z radosnym podnieceniem. Jutro cała kolumna wyrusza na front. Tak więc nasze przeszkolenie wojskowe nie było zbyt dokładne — trwało wszystkiego 5 dni. Niestety z uzbrojeniem jest bardzo kruczo. Wyposażenie bojowe naszej centurii (100 osób) składa się z 3 karabinów starego typu marki Oviado, 1 pistoletu dowódcy centurii i 1 bagnetu. Inne centurie naszej kolumny są uzbrojone podobnie. Nie psuje to jednak nastroju. Chłopcy gotowi są bić się zębami i pazurami. Śpiewamy marsz Riego i Międzynarodówkę. Czasu jest niewiele. Przed zmierzchem wyruszamy na front. Adelante, Companeros!

Tardiente, we wrześniu — październiku 1936 r.

Wczoraj przybyliśmy na front aragoński. Wprawdzie Tardiente — niewielkie miasteczko, położone u podnóża skalistych gór, leży na drugiej linii frontu — ale atmosfera walki dociera i tu. Nasza centuria ma zadania patrolowe i zwładowe. Patrolujemy drogi i trakty górskie, zatrzymując podejrzanych osobników. Nakryliśmy nocą jakiegoś niepozornie wyglądającego mężczyznę w średnim wieku, który przy pomocy latarek przekazywał sygnały świetlne faszystom. Okazało się, że jest to ksiądz, organizator szeroko rozgałęzionej siatki szpiegowskiej. Trzeba było widzieć twarze tutejszych aragońskich chłopów, którzy przyglądali się eskortowaniu szpiega. Ile w nich nienawiści do zdradców w sutannach! Tutejsze klasztory były doskonałymi punktami strategicznymi w rękach faszystów. Nierzadko księża strzelali z CKM-ów do nas i do ludności cywilnej. A w Polsce gazety rozpisywały się pono o „straszliwych aktach okrucieństwa”, jakich dopuszczamy się rzekomo wobec kleru... Służba wartownicza i intensywnie ćwiczenia pochłaniają dnie nocy. Wszyscy palimy się dośłow-

nie na pierwszą linię. Chcemy spotkać się oko w oko z wrogiem i odpłacić mu za wszelkie zbrodnie. Cóż, kiedy nie ma jeszcze broni. Nie można przecież przetrzeć na pierwszą linię 95 nieuzbrojonych ludzi — tłumacza nam cierpliwie dowódcy. Trzeba jeszcze poczekać...

Nadeszła wiadomość: na sąsiednim odcinku zaatakowali Marokańczycy. Odcinek ten obsadzony był przez oddział milicji POUM-istów (trockistów). Ci nie przyjęli boju, rozpięchli się pod naporem pierwszych uderzeń; zawsze byli mocni tylko w pysku! Powstała niebezpieczna luka w linii frontu. Dziś jeszcze ma tam wyruszyć kilka jednostek, między innymi nasza centuria. A więc nareszcie!

Dostaliśmy broń. Każdy ma karabin. Przypuszczalnie odebrano je innym centuriom z zaplecza. Nie mieliśmy czasu nawet na wypróbowanie broni. Pod osłoną nocy przeprowadziliśmy się ciężarówkami na pierwszą linię. POUM-ści porzucili okopy, są już zajęte przez faszystów. Nasza centuria umacnia się wśród skalistych występów gór-



Brygada Dąbrowskiego znowu w boju

Brygada Dąbrowskiego znowu odkryła się sława. Po wieloletnim czasie przeszkolenia, po wzięciu nowych rekrutów w organizm brygady Dąbrowskiej...



skich, dowódcy przydzielają każdemu stanowisko bojowe. Faszyści nieustannie prażą ogniem. Tylko w nocy zdarzają się chwile wytchnienia. Doświadczeni żołnierze opowiadają o podstępnych okrucieństwach faszystów. Kiedy zbliżyli się do naszych stanowisk bez broni, z podniesionymi rękami, wołając „Hermanos, no tirad!” (Bracia, nie strzelajcie!), nasi pozwolili zbliżyć się im na odległość kilku metrów, sądząc, że mają do czynienia z zbiegami. Wówczas faszyści rzucili granaty ukryte w pięściach i zanim ci, którzy nie zostali jeszcze ranni, zdolałi się zorientować — rzucili się dziesiątą na jednego, mordując wszystkich bestialsko. dookoła... Teraz znamy już ich chwyty. Faszyści wściekają się wyraźnie, bo zatrzymaliśmy ich w miejscu. Ich artyleria i karabiny maszynowe są stale w akcji. Rzucili przeciwko nam samoloty myśliwskie. Wśród naszych jest już wielu rannych. Odlamki pocisków bezustannie fruwają w powietrzu, rozbijają się o skały. Nie cofnęliśmy się ani o metr, żywi nie ruszamy się z miejsc. Taki jest rozkaz i rozkaz będzie wykonany. Faszyści nie przejdą. No pasaran!

Dziś zginął J., ulubieniec naszej centurii. Najmłodszy kolega, nasz beniaminek, za kilka dni skończyłby 16 lat. Kula ugodziła go prosto w czoło. Kpił sobie z niebezpieczeństwa, jak wszyscy ci odważni, piękni ludzie... W zalmie skalnym wykopaliliśmy nasza płytka mogiłka i złożyliśmy ciało J. Nad grobem przemawiali towarzysze, koledzy poległego.

Chwała naszemu towarzyszowi J., młodzieńskiemu bojownikowi — powiedział jeden z nich. — Przysięgamy ci, że odpłacimy faszyzmu za Twoją śmierć. Abajo Franco!

Wnieśliśmy pięścią oddaliśmy J. ostatni salut!

JULIAN BIEŁOUS

KARTKI Z DOLINY EBRO

Barcelona, w listopadzie.

Leżę na wysokim szpitalnym łóżku, przez szybę wpada ukośny promień słońca. 23 paździer. odlamki pocisku artyleryjskiego zraniły mnie w obie nogi. We frontowym lazarecie brodaty lekarz POUM-istów odmówił udzielenia pomocy, przejrzawszy mój Carnet Militar. Sanitariusze, którzy mnie przynieśli, klócili się z nim nie przebiegając w słowach, lecz bez skutku. Odwieziono mnie do szpitala w Barcelonie. Lekarze i towarzysze opiekują się mną jak rodzice. Ranni awanturują się z lekarzami, żeby ich wystrali z powrotem na front. Obok mnie leży H., Baskijczyk z szyną na ręce — twierdzi, że jest zupełnie zdrowy i lekarze dosłownie uciekają przed nim. Inny, Andaluzczyk C., postrzelony w płuca kłnie na całym świat i odgraża się, że ucieknie na front. Byli już pono liczne wypadki „dezercji”. Dezercji z zaplecza na front. Ja niestety będę musiał jeszcze poleżeć. Lekarze twierdzą, że sporo czasu upłynie, zanim będę mógł stanąć o własnych siłach na nogach. Na myśl, że tam walczą towarzysze — klnę cicho i zapamiętałem z beznadziejnej wściekłości.

Albacete, w styczniu 1937 r.

Nareszcie chodzę, poruszam się, czuję się zupełnie zdrowy. Po wyjściu ze szpitala otrzymałem rozkaz: zostaje skierowany do bazy Brygad Międzynarodowych w Albacete. Co raz więcej towarzysze ze wszystkich krajów podają do Hiszpanii na pomoc Republice. Francuzi, Włosi,

danie lekarskie, a przeklęty esku-lap orzekł, że o frontie na razie nie ma nawet mowy. Będę pracował tu na miejscu, w Albacete.

Madryt, w maju 1937-38

Postawiłem na swoim. Zostałem skierowany na front madrycki. Tu waży się losy Republiki i nie tylko Republiki. Linia walk przebiega w odległości 3 i pół kilometra od śródmieścia Madrytu. W mieście znajduje się prawie wyłącznie ludność cywilna, a faszyści ostrzeliwują Madryt bez ustanku z ciężkiej artylerii. Straszliwe sceny rozgrywają się co dzień na ulicach. W pobliżu Gran Via i Alcala zatrzymują się nagle wozy tramwajowe. Wóz linii 32 jest podziurawiony i potłuczony odlamkami pocisku artyleryjskiego, który upadł nieopodal. Z wnętrza wozu sanitariusze wynoszą zabitych i rannych. Jakaś kobieta trzyma w ręku niemowlę z rozpiętą czaszką. Sama wygląda jak trup, nie płacze i nie krzyczy. Na asfalcie widać ślady z męczarni ranni. Kilkuletnie dziecko, całe we krwi pędzi na oślep z rodzicami rannymi. Po chwili samochody zabierają rannych, pogruchotany wagon zostaje odpełniony na bok, na przystanku gromadzą się nowi pasażerowie, nadjeżdża tramwaj. Miasto żyje nadal.

Miasto przedstawia niezwykle widok. Dziwny i groźny zarazem. Ludzie śpieszą do pracy, normalnie pracują sklepy, czynne są nawet kina i teatry. Na murach domów widnieją 3-piętrowe płótna plakatów; kobieta z dzieckiem na ręku i napis: „Madri-lenos evvacua Madrid!” (Ludzie jednak nie chcą opuszczać swego ukochanego miasta. Pewna stara kobieta powiedziała mi: „Jeśli mam zginąć, to wolę być pochowana tu, w Madrycie...”). Madrytscy postawili raczej zginąć pod gruzami miasta, niż poddać się faszyzmu. Mówią: „Madrid sera



W okopach

mu, że zarezerwował miejsce i filiżankę kawy czeka na niego, musi się tylko pośpieszyć, żeby nie ostrygła. Przez kilka miesięcy, ku uciesze madrytczyków czekała kawa na generała Mola... Butny generał, jak wszyscy faszystowsy przywódcy — nie potrafił przewidzieć, jaką siłą stanowi bohaterstwo zjednoczonego ludu.

Jako żołnierze Brygad Międzynarodowych stykamy się co dzień ze wzruszającymi aktami najserdeczniejszej wdzięczności Hiszpanów. Poznają nas po czerwonej, trójkolorowej gwiazdce, naszytej na lewym ramieniu. Ludność cywilna oddawojuje nas czym może, każdy chce nas przynajmniej uścisnąć. Któż lepiej od nich potrafi zrozumieć, że przybyliśmy tu po to, by walczyć „za naszą wolność i waszą”. Tak umacnia się między nami piękna, płomienna przyjaźń ludzi walczących o wspólną sprawę. Kiedy ludzie wymawiają tu „Los Internationales”, to w słowach tych jest wszystko: i serdeczna przyjaźń, i wdzięczność, i pochwała. Wszystkie Brygady Międzynarodowe są brygadami szturmowymi „brigadas de choque”, a to jest największe bojowe wyróżnienie. Dlatego żołnierze hiszpańscy, przenoszeni do „Brigadas Internacionales”, uważają to za honor i wybitne wyróżnienie, są z tego prawdziwie dumni. Zawiązała się między nami szczera i mocna, żołnierska przyjaźń. Wielu Hiszpanów uczy się języków, by łatwiej się z nami porozumieć. Kilku moich przyjaciół chlubiło się znajomością polskiego. Tylko węgierskiego nie mogą się nauczyć. Wcale się im nie dziwi.

Front Ebro, w maju—lipcu 1938 r.

Jesteśmy w samym ogniu walki. Front nad Ebro — jest frontem decydującym. Tu dowództwo naczelne przerzuciło Brygady Międzynarodowe. Opiieramy wściekłe ataki faszystów. Po tamtej stronie walczą regularne oddziały, całe armie włoskich i niemieckich faszystów. Reakcyjne gazety w Europie głoszą już triumf faszyzmu. Za wcześnie. „Demokratyczne” rządy pieją z zachwytem nad swą polityką „nieinterwencji”. Polega ona na tym, że robotnikom spieszącym nam z odsieczą zamyka się granice przed nosem, podczas gdy Hitler i Mussolini odkomenderowuje do Hiszpanii swe dywizje piechoty i eskadry „Condora”. Słyszałem, że towarzysze mogli zetknąć się już z próbką „polityki nieinterwencji” rządu polskiego! Był to niewypał z napisem: „Polskie Zakłady Amunicyjne — Warszawa”, który spadł na nasze pozycje.

Argeles-sur-Mer w lutym 1939 r.

Tragiczne były ostatnie dni walczącej Hiszpanii. Cofaliśmy się metr za metrem, aż do granicy francuskiej. Brygada Dąbrowskiego wycofała się jako ostatnia z formacji międzynarodowych. Po stronie francuskiej czekali już na nas Senegalczyk i Gwardia ruchoma. Na rozkaz „demokratycznego rządu” zapędzono nas za druty kolczaste obozów koncentracyjnych w Argeles-sur-Mer i Saint Cyprien... Tu, na nadmorskich płaskach umierają chorzy żołnierze, bez lekarstw, bez żywności...

Zadanie bojowe zostało wykonane.

Pod gradem pocisków przeprowadziliśmy nocą na drugą stronę. Zdobyliśmy poważne przyczółki. Dalszy marsz na Saragossę stał się jednak na razie nie do pomyślenia. Odnieśliśmy jednak wielkie zwycięstwo. Franco twierdził, że nigdy nie potrafimy sforsować Ebro. Faszyści jak zawsze lubią przedwcześnie się chełpić i rzucić słowa na wiatr. W bitwie straciliśmy wie-

lu towarzyszy. Nie mogą wraz z nami radować się zwycięstwem, ale ich bohaterstwu przecież je zawdzięczamy. Zginęli jak bohaterzy. Brygada Dąbrowskiego i batalion Mickiewicza otrzymały najwyższe odznaczenie: „Medalla del Valor”.

Z bólem przyjęliśmy rozkaz dowództwa. Rząd hiszpański postanowił wycofać wszystkich ochotników Brygad Międzynarodowych z frontu i skierować do obozów demobilizacji. Wszyscy cudzoziemcy walczący w Hiszpanii po obu stronach frontu mają zgodnie z uchwałą Ligi Narodów zostać demobilizowani. Przyjechała delegacja Ligi Narodów. Wątpili, czy faszyści zastosują się do tej uchwały. Ale cóż, rozkaz jest rozkazem. Myśmy przybyli tu z pomocą walczącym towarzyszom i swoje zadanie musimy wykonać. Faszyści rzucili na nasze pozycje ulotki: „Oszukali was, obiecując bajeczne wynagrodzenie”. Dla nas jedyną bajeczną zapłatą jest uwolnienie Hiszpanii i świata od zmory faszyzmu.

Barcelona, we wrześniu

Tego dnia niespodzianie zapomniałem. Wczoraj przeżyliśmy pożegnanie ludności Barcelony z ochotnikami Brygad. Nie było chyba w tym miesiącu ludzkiej issty, która nie wyległa na ulice. Stąpaliśmy jak najbardziej dosłownie — po kwiatkach, nie dosłownie opłanawaliśmy wrzesała — wiele z nas miało łzy w oczach. Hiszpanki płakały głośno, po kobiecemu. Któraś z nich przyczepiła do mego munduru jedwabną chustkę, inną „brzoškę” i „bark” wiatów. Maszerowaliśmy środkiem ulicy — wśród dzielnich, bohaterkich przyjaciół — którzy z dna serca wydobywali gorące, dławione łzami słowa wdzięczności, podziękli.

Sytuacja na froncie staje się niezwykle groźna. Co to za męka śledzić z beczynnymi założonymi rękami, kiedy tam głą hiszpańscy towarzysze w nierównej walce! Monachium otworzyło wszystkim szeroko oczy. Oto bezmiar cynizmu i zdrady, ofiarą której paść ma nie tylko Hiszpania, ale i Czechosłowacja, a potem Polska... Podczas gdy siedzimy w obozach demobilizacji — Franco wraz z 300-tysięczną armią wioską naciera na Katalonię.

Wrócąmy na front! Na drugi front. Faszyści zbliżają się do Barcelony. Dziesiątki tysięcy uchodźców, przeważnie kobiety i dzieci — zmierzających ku granicy francuskiej, są w dzień i w nocy celem dla faszystowskich lotników. Musimy ochronić ich od tego losu, zagrozić tamą napór faszystów, zwolnić tempo morderczej ofensywy.

Tragiczne były ostatnie dni walczącej Hiszpanii. Cofaliśmy się metr za metrem, aż do granicy francuskiej. Brygada Dąbrowskiego wycofała się jako ostatnia z formacji międzynarodowych. Po stronie francuskiej czekali już na nas Senegalczyk i Gwardia ruchoma. Na rozkaz „demokratycznego rządu” zapędzono nas za druty kolczaste obozów koncentracyjnych w Argeles-sur-Mer i Saint Cyprien... Tu, na nadmorskich płaskach umierają chorzy żołnierze, bez lekarstw, bez żywności...

Komuniści „ludzie szczególnego pokroju” umieją wytrwać do końca. Nawet tu, wśród straszliwych warunków obozu koncentracyjnego nie nie potrafi nas złamać. Nie opuszczają nas duch bojowy. Musieliśmy ulec przemocy, — ale pod Guadalu-jara, w Casa del Campo, nad Jarama i Ebro — żołnierze Brygad Międzynarodowych pokazali światu, że solidarności bojowa ludzi pracy potrafi zagrozić drogę najazdowi faszyzmu. Tu walczyliśmy o wolność Hiszpanii. Polski, wszystkich narodów. Nasza sprawa musi zwyciężyć. I choć wielu przyjaciół poległo, żywią pozostaną wierni przyszłym Dąbrowszczakom. Czy to na frontach nowych bojów z faszyzmem, czy w wolnej Ludowej Polsce przyszości, przy warsztacie pokojowej pracy — „nie zabraknie z nas ani jednego...”

- 1) „Naprzód, towarzysze!”
- 2) „Bracia, nie strzelaj!”
- 3) „Nie przejdą!”
- 4) „Przeżyj z Franco!”
- 5) Pozdrowienie republikańskie
- 6) Ksiądzeczka wojskowa
- 7) „Madrytczycy, ewakuujcie Madryt!”
- 8) „Madryt będzie grobem faszyzmu!”
- 9) Medal za odwagę

República Española

Brigadas Internacionales

CARNET MILITAR PARA

Apellidos **BIEŁOUS**

Nombre **Julio**

LEER CON ATENCION

1. Se ruega a los comunistas que o velen, como su Unidad haya la inscripción correspondiente.

2. No se extranjerizaciones de este carnet.

3. Los propietarios del carnet no tienen derecho a solicitar modificaciones.

BIUACION

Estatura

Pelo

Ojos

Cara

Manos

Señales particulares

Fecha de nacimiento

Fecha de ingreso

Nacionalidad

Profesión

Estado civil

DOMICILIO: País

Calle

Pueblo

Fecha de expedición

Fecha de validez

Fecha de renovación

Fecha de caducidad

NOMBRA MIENTOS

Grado

Empleo

Nombre de la Unidad

Estado civil

Comandante

Grado

Empleo

Nombre de la Unidad

Estado civil

Comandante

Grado

Empleo

Nombre de la Unidad

Estado civil

Comandante

Grande valse brillante



Czy pamiętasz, jak z tobą tańczyłem walca,
Panno, madonno, legendo tych lat?
Czy pamiętasz, jak ruszył świat do tańca,
Świat, co w ramiona mi wpadł?
Wylekniiony bluźnierca,
Dotulałem do serca
W utajeniu kwitnące, te dwie,
Unoszone gorąco,
Unisono dyszące,
Jak ty cała, w domysłach i mgie,
I tych dwoje nad dwiema,
Co też są, lecz ich nie ma,
Bo rzesami zakryte i w dół,
Jakby tam właśnie były,
I błękitem pieściły,
Jedno tę, drugie tę, pół na pół.
Rośnie grom i strun i trąb.
Rośnie krąg i zachwyt rąk,
Coraz więcej kibici
Chciwe ramię ochwyci,
Świątokrądczo napelża
Drżąca ręka na pęk
drżący,
Huczą słońca grzmiących trąb,
Kołujący rośnie krąg,
Pędzi zawrót
kolisty
Po elipsie
falistej,
Jednomętnym rozplywem wiruje jak bąk.

Gdy przez sufit przelatam —
Nosem gwiazdy zahaczam,
Gdy po ziemi mlynkuję,
To udaję silacza.
Wątle mięśnie naprężam,
Pierś cherlawą wytyżam,
Będziesz miała atletę
I huzara za męża.
Wniebowziętym belkotem
O zabawie coś plotę,
Będziesz miała za męża
Skończonego idiotę.
Słuchasz chłodna i obca
Cudo-chłopca, co hopsa,
Żebyś miała za męża
Wytwornego światowca.

A tu noga ugrzęzła,
Drzazga w dźlurze uwięzła,
Bo ma dziurę w podeszwie
Twój pretendent na męża.
Ale szarpnę się, wyrwę —
I już wolny, odeszło,
I walczę, szurając
Odwinęta podeszwą.

Z jakąś gracją diabelską,
Czardaszowo - węglerską,
Czarcie kręgi zataczam
Tą przeklętą podeszwą
Trzęsę tylko latany
I na pysku mam late,
Sześć kopiejek w kieszeni
I nie więcej poza tem.

Palce lewej mej dłoni,
Dziarsko w bok odrzucone,
Młędzy palce twe wchodzi
I znajdują pierścione,
Zaciskają się kleścze —
Choć krzyknęłaś, to jeszcze!
Niech cię boli, ty podła,
To kółeczko złowieszce.

Ja ci inny dam pierścień:
Ja ci moim nieszczęściem
Sliczną szyjkę owinę
Jeszcze przed tym zamęściem.
Mściwą pętlą zacisnę
Tę labędzia, tę wonną,
Będziesz tańczyć na stryczku,
Wiarołonna madonno.

Krąży koło powroźne i podnosi się, zwięża,
Po wariacku wywija twój pretendent na męża,
A w to koło się wtańcza fabrykańca szarańcza,
Pan właściciel, posiadacz, karciarz, brylantarz!
Jak z piekielnej czeluści, wyskakują ci tłusci.
Odbijają cię, kradną, ci złodzieje, oszuści.
W pulchne lapska cię chwycą — żywo, w supel, pętlco!
I ty w węzeł, berlińska tajemnicza ulico!

Sercem teraz (zmluj się, zmluj),
Echem teraz (mluj mnie, mluj),
Złutuj się, daruj, pożałuj,
Weź w ciemny las — i zacaluj.
Szeptem teraz, cichą namowa,
Szeptem tajnym, żalem — żalobą,
Płynną melodią — zwolnioną —
W las cię wytańczam, madonno...

JULIANA TUWIMA „Księga wierszy polskich XIX wieku”

Szczupły, o ptasiej głowie i wyrazistych oczach, średniego wzrostu pan porusza się żywo i elastycznie, jak gdyby miał pod stopami sprężyny. Mówi z przejęciem, dużo gestykuluje, zapala się — wszystko przy akompaniamencie coraz to nowych książeczek, książek i ksiąg, wyciąganych z okalających pokój półek, coraz to nowych faktów, nazwisk, przytoczeń.

Takie zewnętrzne wspomnienie pozostało mi po pierwszej wizycie u Juliana Tuwima, dwa przeszło lata temu. Trafiałem do niego przypadkowo, szukając pamiętników Modrzejewskiej — ale zaraz okazało się, że mamy wspólne zainteresowania: ballady, poematy heroikomiczne, folklor miejski. To znaczy okazało się, że i ja zajmuję się szperaniem w dziedzinach, w których Julian Tuwim był nie byle jakim bywałcem i przewodnikiem. Zaraz też „odkryli” mi nietknięty przez historyków literatury arcybawny poemat Aleksandra Morgenbessera „Obrona Sokolowa” — a na tym się nie skończyło. Oczywiście moje „odwiedzanie się” było również skromniejsze, choć wylazłem ze skóry, by wskazać fenomenalnemu zbieraczowi jakieś niezauważone przezeń ciekawostki. Parę ledwie razy mi się udało.

Bo też skala poszukiwań Tuwima — o jakikolwiek temat jego prac badawczych idzie: o curiosa literackie i naukowe, satyry, parodie, humoreski, sprawy „czarów i czarotów”, fraszki, nieznane wiersze dziewiętnastowieczne — była ogromna. Godna podziwu była też pamięć poety, który bez namysłu cytował szeregi nazwisk, dzieł, faktów biograficznych całych legionów drugorzędnych i jeszcze dalszo — rzędnych literatów. A gdy nie był czegoś pewien — w sukurs przychodziła szafka, wypełniona „fiszkami” — tam według alfabetu stały w szufladkach pieczołowicie opracowane (lub mniej porządnie, bo autor nie był pedantem) informacje z najrozmaitszych źródeł i własnych szperań zebrane.

Półki z książkami, które zajmują połowę ścian pokoju, zawierały najrozmaitsze cudeńka i bibliofilskie drogotocności. Wszystko to jednak przesłaniał urok, jaki umiał wytwarzać poeta w skupionej, to znów emfaticznej wybuchowej rozprawie. W czasie drugiej bytności u Tuwima rozmawialiśmy znów o poematach heroikomicznych. „Warto by je zebrać i wydać — mówił — Nie mamy ich wiele, a na ogół są bardzo ciekawe i zabawne”. Nagle przerwał, zamyślił się — i począł z większym ożywieniem opowiadać, że ostatnio znów — po raz nie wiadomo który — przeczytał „Pana Tadeusza”. „Leżymy — powiadam panu — niziutko, plackiem leżymy!” — zawołał z uniesieniem. „Arcydzieło. Kiedy je zobaczę na śrubki — ciągnął — to ogarnia człowieka jakiś przerażony podziw”.

I wspomnieliśmy z uznaniem o pracy Zygmunta Szwejkowskiego „Pan Tadeusz jako poemat humorystyczny”, której przyznawał sporo racji (choć nie zgadzał się z całością koncepcji).

*
Julian Tuwim pozostawił po sobie ogromną ilość prac zbierackich i antologicznych, od „Czarów i czarotów polskich” poprzez „Cztery wieki fraszki” do powojennego „Pegaz dęba”, „Polskiej noweli fantastycznej” i nie wydane jeszcze „Krzywego zwierciadła literatury polskiej”, ogromnej, („pomnikowej”, jak mawiał pół żartem) antologii pa-

rodii i pokrewnych gatunków literackich. Wszystkie te dzieła są wynikiem ogromnego trudu zbierackiego i wnikliwej lektorskiej, wszystkie wymykają się rozpiętością zakresu spod pióra recenzentów, wszystkie dotyczą terenów nowych, niezbadanych i nieopracowanych poprzednio.

Podobnie jest i z „Księgą wierszy polskich XIX wieku”. Możemy tu — wobec gigantyczności materiału i jego nowości — mówić tylko o ogólnych zasadach antologii — i o poszczególnych poetach. Wydaje się, że na syntetyczną ocenę, na określenie, czy autor istotnie wybrał większość przynajmniej tego, co najlepsze i najbardziej godne przypomnienia i ocalenia — musimy jeszcze dość długo poczekać.

Jak to zwykle bywa — w antologii rzucają się najbardziej w oczy jej wady. Jest ich zasadniczo dwie — ale bynajmniej nie z rodzaju błahych. Wadą, której można było uniknąć — jest brak źródeł bibliograficznych, narażający późniejszych badaczy na deptanie po śladach Tuwima.

kryteriów ocen, stosowanych do wielkich i małych.

Trzeba sobie jednak zdać sprawę, że nierówności poziomu utworów nie pokrywa się z podziałem na bardziej i mniej znanych. Iluż ludzi w Polsce zna zaskakująco świetne wiersze tragicznie zmarłego Stebelskiego? Kto prócz badacz, literatury słyszał o Stefanie Witwickim? Syrokomle znamy — ale to gawędziarza, poetę-prymitywa — tymczasem z antologii wylania się oblicze pisarza naprawdę dużej klasy. A przecież nie tylko oni zasługują na naszą pamięć — a przynajmniej na odgrzebanie z pyłu zapomnienia czy w ogóle nieświadomości.

Po chwilowym zastanowieniu wady antologii znikają wobec jej ogromnych zalet i osiągnięć. Nie będę przytaczał cyfr, świadczących o rozmiarach pracy Tuwima i jej wyników — zebrał te cyfry starannie Juliusz Włklor Gomulicki, autor wstępu i objaśnień. Trzeba wszakże powtórzyć, że odkopanie takiej liczby nazwisk i wierszy stawia nowe zadania przed historyka-

wid. Ale są jeszcze i Felician Fałęński i Wacław Rolicz-Lieder — znany w całej Europie tylko nie u nas. I wielu pomniejszych, którzy, przyjaźni przyjeźci, mogliby rozwinąć swoje talenty i wyzyskać możliwości.

Wielu znanych było za życia — czasem zanadto wielbionych, jak Pol czy Zaleski — a dziś usunięci w cień, niezauważani, dopominają się o swoje słuszne prawa. Z niedostępną księgą pamiątkowej Uniwersytetu Stefana Batorego wydobył Tuwim „Cyganke” Zana — jedyną chyba polską balladą romantyczną, mogącą stać obok ballad młodszego kolegi jej autora, wielkiego Adama. Przejmujący wiersz Lucjana Siemienińskiego do Teofila Lenartowicza, choć ma już sto lat, żywo przywołuje na myśl Gałczyńskiego. Dużej miary poeta — to Tomasz August Olizarowski. Na bliższe przyjrzenie się czeka ceniony przez Sienkiewicza poeta — podróżnik, włóczęga po Afryce, Henryk Jabłoński. Obecnie, w dobie żywszego zajęcia się stosunkami polsko-ukraińskimi, warto by się bliżej zająć poetami dwujęzycznymi: Tomaszem Padurą, Platonem Kosteckim, Włodzimierzem Stebelskim. Długo można by wylizywać postulat do historyków literatury, do wydawców, do czytelników przede wszystkim. Nie trzeba się zniechęcać tym, że w „Księdze” jest sporo i bardzo słabych wierszy — jest tam niejedna perełka (na przykład „Małka i dziecko” Kazimierza Brodzińskiego, „Zakochana” Ujejskiego).

Obok poezji znajdujemy tu i wierszowaną retorykę (to nie jest obelga, tylko rozgraniczenie). Retorykami przede wszystkim są przecież tacy autorzy, jak Jachowicz, Rodoć, Asnyk. Mało w ich wierszach prawdziwego uczucia i poezji — są zgrabne i celne sformułowania, zwroty, które weszły w przysłowia, rymowane nauki moralne. Obok tych perełek wierszowanego krasomówstwa, ileż znajdziemy znanych tekstów piosenek, których autorów nie zna nikt ze śpiewających! („Sadźmy róże” Goszczyńskiego, „Weźmy świecę i latarnię” Zmichowskiej, „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie” Witwickiego, „Gwiazdko moja, coś błyszczała” Wiktoryna Zielińskiego, „Czerwony płaszcz” Korzeniowskiego — i mnóstwo innych).

Jakie ogólne wrażenie sprawia lektura „Księgi wierszy polskich”? Budzi uczucia dwójakie. Przede wszystkim radość i podziw, żeśmy obok największych i znanych mieli jeszcze legion poetów mniej wprawdzie głośnych, ale dobrych, różnorodnych, często samodzielnych i bogatych. Ze naszą tradycją poetycką XIX wieku jest znacznie cenniejsza i obfitsza, niż to popularnie sądzimy. Ze jeszcze tyle pozostało do poznania i wyzyskania. Budzi też wszakże smutek. Smutek z powodu tytułu zmarnowanych talentów i żywotów, wykończeni, spaczni i wykrzywieni. Bo przytaczając tonem większości zawartych tu utworów jest smutek, nostalgia, żal, tęsknota, poczucie krzywdy społecznej i narodowej.

W „Księdze wierszy polskich XIX wieku” jest część naszej wielkiej tradycji — tradycji związania życia jednostki z życiem narodu, tradycji buntu przeciw niewoli, złu i niesprawiedliwości, przeciw ciemności i poniżeniu. Ogromną wdzięczność winniśmy Julianowi Tuwimowi za przypomnienie nam tej wielkiej i zobowiązującej spuścizny.

ZDZISŁAW NAJDER



Jeżeli w „Księdze” spotykamy po dwa, trzy, lub zgola po jednym wierszu wielu autorów — to może to znaczyć, że autorzy ci nie napisali już więcej nie godnego uwagi. Natomiast Cyprian Norwid reprezentowany dziewięcioma utworami napisał jeszcze przynajmniej trzy razy tyle wierszy, godnych czytania i przypominania, przerastających większość pozostałej zawartości trzech tomów „Księgi”.

Zniżając nieco ton, to samo powiedzieć możemy np. o Lenartowiczu czy Kasprowczu. Ten fakt powoduje pewne zatarele proporcji i nasuwa upartą myśl, że lepiej było — o ile ze względu na miejsce i zasadniczy „przypomnieniowy” charakter dzieła nie chciało się ułożyć jakiegoś „Kodeksu wierszy polskich XIX w.” — zrezygnować z poetów bardziej znanych. Tak, jak jest — wybór uderza nierównomiernością

mi literatury, zmusza ich do zrewidowania niejednego sądu, do opracowania wielu nowych postaci. Bez przesady powiedzieć można, że poszukiwania Tuwima położyły fundament pod nową wlede o poezji polskiej XIX wieku.

Gdy przystępujemy do poszczególnych poetów — uderzają nas przede wszystkim ich charakterystyczne biografie. To prawie sami tułacze, bojownicy powstań i rewolucji, więźniowie, zesłańcy, emigranci, nieszczęśliwcy najrozmaitszych pokroju, nostalgicy, często maniacy i wykończeni, alkoholicy i samobójcy. Nieszczęścia społeczno-narodowe łączą się niejednokrotnie z najbardziej osobistymi: wielu poetów jest niezrozumianych, zapomnianych od razu za życia, lekceważonych przez krytykę, nieczytanych przez publiczność. Największego z nich znamy dziś wszyscy: to Nor-

Wisła płynie...

Wierszu mój — z żalu, jak stół z drzewa,
Wierszu z tęsknoty, jak dom z cegieł!
Syrena nad wisłanym brzegiem
Cichutko, jednostajnie śpiewa,
Że Wisła płynie, Wisła płynie
I co ma przetrwać — trwa w głębinie,
Wierszu mój, ścisły jak zapłoty
Srebrnostrunnego jej warkocza!
Z twardej wybił się tęsknoty
Jak źródło z kamienistej ziemi...
O, wierszu z gruzów i kamieni
Ojczyzny mojej i młodości!
Płyn, wzbieraj, nurcie namietności,
Lzami grający tężowem!
Wydłużaj się — wyciągaj — sięgnij
Dnia-Tam, Dnia-Domu, Dnia w krainie,
Gdzie (słuchaj! słuchaj!) Wisła płynie,
Z płynącą Wisłą bieg swój spręgnij,
Rozchyl spragnione wargi rymów
I pij — i chłoń — i czule wymów
Te dwa wyrazy, godne księgi!
Wierszu, rodzona moja mowo!
Polsko, matczyne moje słowo!
Matko, dla której żadnych nigdy
Słów nie znalazłem prócz modlitwy,
Matko, co swemu niemowlęciu
Śliczności wapięwywałaś tkliwie,
Do dziś szumiące w głowie słwej,
A chłopcu mazurkowe zwrotki,
Gdzie dźwięk z odźwiękiem się sprzymierza!

Wprawiając serce w podziw słodki,
I nauczając go pacierza,
A potem „ty jesteś jak zdrowie” —
A wszystko było w jednej mowie,
W tej samej, którą dziś, struchlały,
Nadziel pełen i rozpacz,
Śpiewam dwusłowy hymn prostacz,
Jakby to był poemat cały;
Że Wisła płynie... Wisła płynie...
Matko i wierszu, i ojczyźnie,
Umiłowani Trój-jedynie!
Płonie i dzwoni: „Wisła płynie!”
Poszum jej gonie: „Wisła płynie!”
I przed Poezją zasłuchana,
Zcznając jak przed trybunałem
Że ja, co mowy tej caliznę
Do dna miłośnią przeorałem
I znam jej żwir i płasek złoty,
Czarnoziem, węgiel i klejnoty,
I, jak jagody do kobiałki,
Zbierałem rośnie jej rozbiłyski,
I dźwięków samorodny kruszec
Z mięsistych kwiatów brazylijskich,
Z drzew w White Plains, z trawy Massachusetts;
Ja, wdany w żywot jej korzeni,
Pnia i gałęzi, i zieleni,
Jak pszczoła w plastry bareł leśnej,
Ja, co jej prawdę chwytał bystrzej
Niż usta świętych młazsz czereśni,
Ja — radośniejszej i arebrzytszej
W polszczyźnie nie słyszałem pieśni...



Ilustr. Jerzy Cwiertnia

Symbol Twórczej Nauki

Kto z młodych ludzi wstępujących na Politechnikę Wrocławską nie marzył o tym, aby zostać wynalazcą, konstruktorem, człowiekiem nauki? Każdego z nich na pewno porwają współczesna technika, najnowsze zdobycze wiedzy. A czyż może nie porwają cel naszej nauki: służba dla narodu budującego nowe życie?

Janusz Jawecki i grupa jego kolegów z wydziału łączności wstępując na Politechnikę wiedezieli, że nie można poznać tajemnic swej nowoobranej specjalizacji bez znajomości podstawowych zasad fizyki. Braków mieli wiele, a że niektóre problemy interesowały ich szczególnie (chcieli np. zapoznać się z pracą w laboratorium) wyjście było proste: wstąpili do Koła Naukowego Fizyki.

I tutaj rozpoczęło się rozczarowanie. Kołem nie interesowali się wówczas pracownicy nauki, w laboratorium nie było dla nich miejsca. Praca koła ograniczała się do niewiele uczących referatów, a poza tym często polegała na destylacji wody, tarcu węgla i w ogóle na tzw. szarej robotcie. Nic więc dziwnego, że skoro na początku roku akademickiego 1952/53 pracę w kołach Politechniki zaczęło 511 studentów — do końca roku pozostało tu tylko 150 osób.

Istniały jednak żywe zainteresowania studentów, istniały więc realne, życiowe potrzeby poprawienia stylu i treści pracy kół naukowych. Nie było tylko odpowiedniej instrukcji, zarządzenia. I oto aktyw młodzieżowy Politechniki Wrocław-

skiej nie czekając na instrukcje postanowił założyć pierwsze w Polsce Studenckie Towarzystwo Naukowe.

STN jako centralna instancja wszystkich kół naukowych uczelni zagwarantowała tym kołom opiekę ze strony uczelni i organizacji zetem-powskiej, umożliwiła im systematyczną i planową pracę, a co najważniejsze — ułatwiła im ożywienie tej pracy przez większe powiązanie jej z zainteresowaniami studentów i z naszym życiem gospodarczym. Dzisiaj — po roku działalności tego STN — nie ma chyba na Politechnice Wrocławskiej studenta, dla którego nazwa ta nie kojarzyłaby się z twórczym podejściem do nauki, z samodzielnością myślenia, z początkami pracy naukowo-badawczej i wynalazczości studentów.

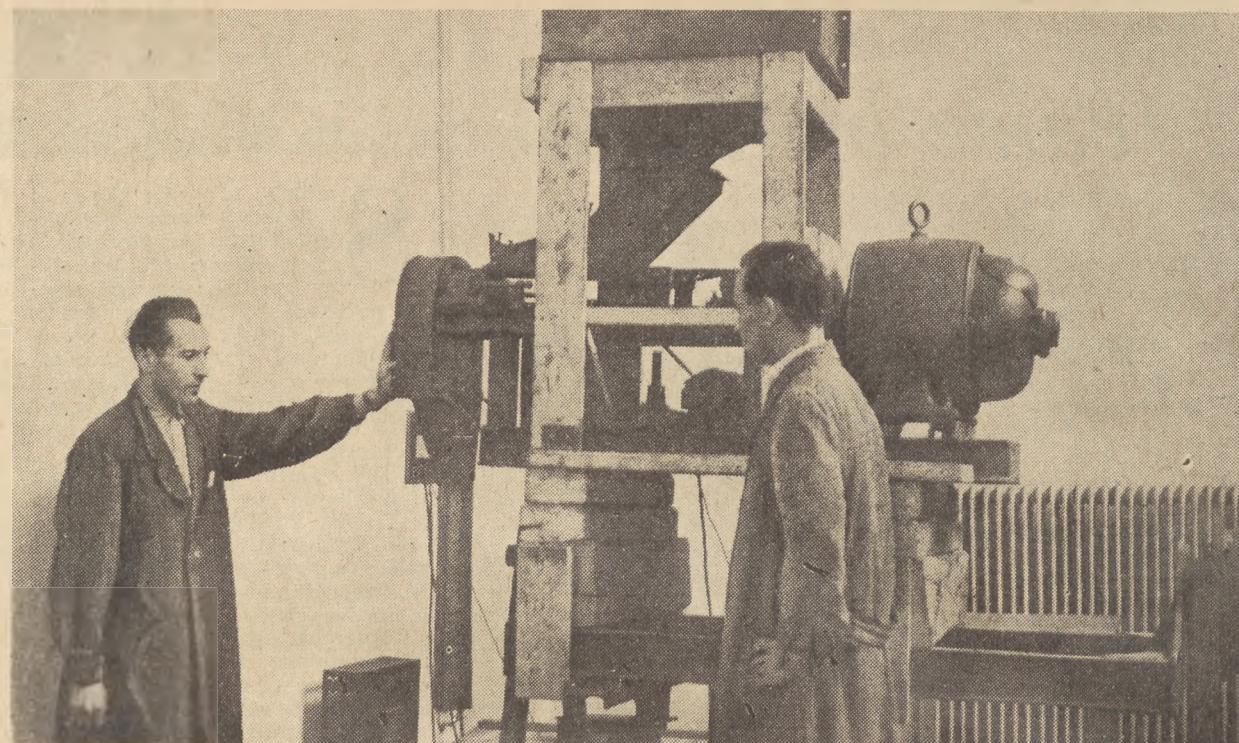
Rok działalności STN — to wiele wspaniałych osiągnięć studentów Politechniki Wrocławskiej. Praca w kołach naukowych nie ogranicza się tylko do referatów, ale skupia się ona na pracy badawczej w laboratoriach, na współpracy z klubami racjonalizatorskimi przy zakładach pracy. STN organizuje ciekawe imprezy o charakterze naukowym jak np.: olimpiada matematyczna i fizyczna czy studencka konferencja naukowa. Ogłoszony przez Radę Uczelnianą STN przy końcu ubiegłego roku akademickiego konkurs na pracę wakacyjną dał plon w postaci 36 prac, w tym większość ciekawych wniosków racjonalizatorskich, które przyniosą naszej gospodarce tysiące złotych oszczędności.

Nowa treść i forma pracy kół naukowych ciągle rozszerzała zasięg oddziaływania STN. W 70 przykatedralnych kołach naukowych warunki do pracy nad ciekawymi problemami techniki znalazło ponad 700 studentów. Są to jednak tylko suche liczby. Życie jest piękniejsze i bogatsze od liczb.

— Pionoński ślimoku, nie grzeb w tej maszynie, bo ci łapę urwie! Genek Polakowski, student IV roku wydziału mechaniczno-energetycznego, szanował uwagi starszych robotników Huty Ferrum, ale tym razem nie usłuchał. Wiele rzeczy nie podołało mu się. Choćby ta maszyna do smołowania rur: zgrzyt mechanizmu, odkryte tryby, duże straty smaru, brak zabezpieczenia przed wypadkami...

Zaczął kombinować. W każdym miejscu i prawie o każdej porze dnia (a nieraz i nocy) Genek Polakowski i Jan Krztoń rozmawiali o projekcie osłony maszyny do smołowania rur. Dziesiątki rysunków, dyskusji, prób, obliczeń i — projekt był gotowy. Ale to był dopiero początek. Młodzi praktykanci — członkowie STN Politechniki Wrocławskiej — mieli większe ambicje.

Po paru dniach Genek zjawił się w zakładowej komórze racjonalizatorskim. Tym razem był to projekt elektrycznej zgrzewarki pierścieni. Zastosowanie tego projektu zmniejszyło ilość awarii, a co najważniejsze — zlikwidowało szkodliwe działanie procesu zgrzewania na zdrowie robotnika.



Model maszyny, który oglądamy na zdjęciu, jest w przeważającej mierze dziełem studenta kierunku inżynierskiego inż. Henryka Kędziora (z prawej). Za pracę pt. „Wytężenie do skonstruowania narzucarek maszyn formierskiej” inż. Kędzior i Jurkowlanicz otrzymali na I Studenckiej Konferencji Naukowej Politechniki Wrocławskiej pierwszą nagrodę dziełna wydziału mechanicznego.

I znowu długie wieczory pracy, sporów, dyskusji... Tak rozdził się nowy projekt, tym razem była to już „rewolucja”. Nasi studenci opracowali nowy tzw. przyrząd wychylny do spawania kopuł. Dzięki niemu można spawać kopuły lepiej, szybciej i przy mniejszym nakładzie pracy.

Pomysł Polakowskiego i Krztonia zostały wprowadzone w życie. Dadzą one rocznie w jednym tylko zakładzie 40 000 zł oszczędności! A niemniej ważne jest to, że Genek Polakowski i Jan Krztoń — no i dzięki nim i inni studenci — zrozumie, jak bardzo są potrzebni krajowi, jak wiele mogą zrobić.

Przed kilkoma miesiącami do STN Politechniki Wrocławskiej zgło-

sił się niewidomy artysta-muzyk, Ferdynand Frybes. Prosił on o techniczne opracowanie aparatu do czytania nut dla niewidomych. Skonstruowania aparatu podjęli się (pod kierownictwem inż. Piątkowskiego) studenci wydziału łączności: koledzy Dworakowski i Klesyk. Trudna to była praca. Ale piękny cel (brzmi to może patetycznie, jednak tak było) pomagał twórcom aparatu.

W końcu przyrząd został oddany do użytku. Ten prosty w swej budowie instrument pozwala na równoczesne odczytywanie nut i wykonywanie danego utworu muzycznego. Niewidomy artysta odzyskał „część świata” — mówił o tym na studenckiej konferencji naukowej, serdecznie dziękując twórcom aparatu.

Wiele takich serdecznych podziękowań przychodzi do Rady Uczelnianej STN z różnych stron kraju. STN Politechniki Wrocławskiej wykonuje liczne prace dla zakładów produkcyjnych. Studenci bardzo często sami odkrywają ciekawe zagadnienia w przemyśle.

Kol. Janusz Jawecki będąc na praktyce wakacyjnej w zakładach T-7 w Krakowie zauważył, że duża część wybrakowanej produkcji wynika z niewystarczającej kontroli używanego do produkcji impregnatu. I ten problem stał się te-

matem pracy jednego z kół naukowych.

Albo inny przykład. Koło naukowe przy wydziale mechanicznym współpracuje z Wrocławskim Przemysłowym Zjednoczeniem Budowlanym. W zakładach zgłoszono wniosek racjonalizatorski dotyczący pneumatycznego przeładunku piasku. I członkowie koła przy wydziale mechanicznym pracują obecnie nad konstrukcją takiego właśnie urządzenia.

Przykładów takich można by dawać jeszcze wiele. A na każdym z nich łatwo można by wykazać, jak praca nad rozwiązaniem ciekawych a zarazem potrzebnych naszej gospodarce problemów jest nie tylko szkołą samodzielności myślenia, lecz również szkołą praktyki.

Na wielu naszych uczelniach praca kół naukowych pozostawia jeszcze dużo do życzenia, a aktyw i władze uczelni całą winę składają na uczeń „odgórnego” unormowania tych spraw, na brak instrukcji o STN. Przykład Politechniki Wrocławskiej (i innych uczelni, które poszły w jej ślady) jasno pokazuje, jak wiele można zrobić bez oglądania się na wytyczne. Ale... z drugiej strony nie usprawiedliwia to wcale Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego za brak ostatecznego uregulowania tych spraw.

MIECZYSLAW KABA:

Z wlytą w Instytucie Tworzyw Sztucznych

Kapryśny „wychowanek”

Trzępiętrowy budynek Instytutu Tworzyw Sztucznych ziele całą kaskadą zapachów. Tu nad dziełkami problemów chemii głowią się setki inżynierów, techników i лаборantów; tu opracowuje się wiele spraw podstawowej wagi dla naszej gospodarki.

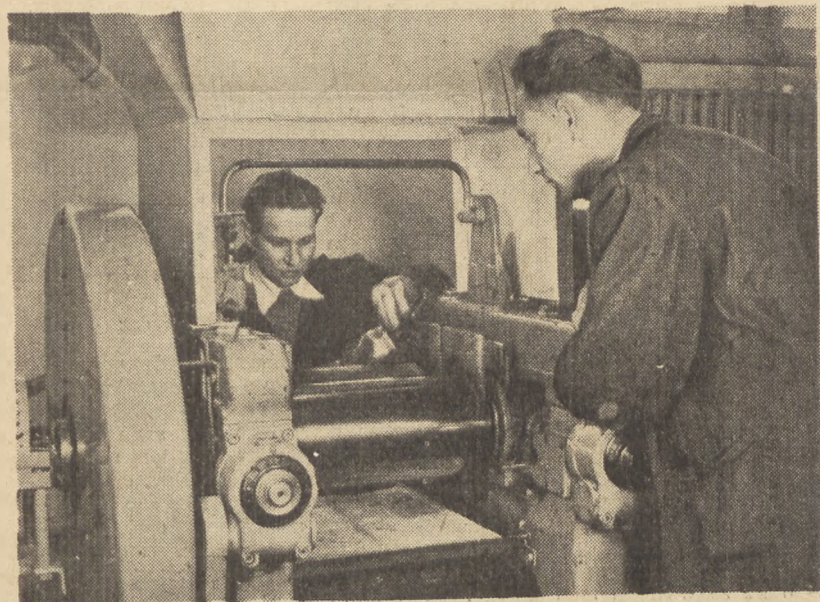
Oto inżynier Rubin w fartuchu pomalowanym w rozmaite kolory przeprowadza próby swego rewelacyjnego wynalazku wysokowartościowych lakierów bezoleistych: trwałych, o pięknym kolorze i polysku, a wytwarzanych bez deficytowych olejów roślinnych, jakich dotychczas używano przy tej produkcji. W sąsiednim laboratorium zarzuconym sztabkami żelaza inżynier Iskra na zamówienie Państwowych Zakładów Optycznych poszukuje odpowiedniego kleju do łączenia metali.

DŁACZEGO BOHATER

Piętro niżej inż. Zakrzewski, inż. Zieliński, Roszkowski i Skrzypczak „lamia sobie głowy” nad jakościowym i technicznym ulepszeniem winiduru. I właśnie ten winidur pasuje na bohatera Instytutu. Dlaczego — zaraz wyjaśnię:

Bo winidur jest jednym z najnowszych i mało znanych tworzyw sztucznych od niedawna produkowanych w naszych fabrykach, a wkrótce stanie się on jednym z podstawowych materiałów w przemyśle chemicznym i jemu pokrewnych.

Bo winidur jest tworzywem niestycznym pożytecznym ze względu na rzadką zaletę: odporność chemiczną. Ulega on działaniu tylko nielicznych, specyficznych rozpuszczalników. Łatwo można sobie wyobrazić, jak dzięki temu jest on poszukiwany przy konstruowaniu aparatów w przemyśle chemicznym. Jedynym metalem o równej wini-



Wytrzyma czy nie? Inżynier Roszkowski i лаборant Chodkiewicz obserwują zachowanie się nowego rodzaju winiduru podczas walcowania.

durowi kwasoodporności jest ołów, ale zastąpienie ołowiu przez winidur przynosi milionowe oszczędności.

A wreszcie: bo winidur jest jednym z najbardziej kapryśnych „wychowanków” Instytutu.

NIECO TECHNOLOGII

Inż. Zakrzewski przedstawia nam winidur w czterech odmiennych postaciach: nieskazitelnie biały proszek o miękkości maki kartoflanej, brunatny kawałek rury, zielonkawe pudełko do papierosów podobne do bakelitu i podobna do bitej śmietany lekka kostka.

Podstawowymi surowcami do otrzymywania winiduru są: węgiel, wapien i sól kuchenna. Droga szeregu procesów chemicznych otrzymuje się z nich acetylen i chloro-

wodór, a przez połączenie tych gazów otrzymujemy chlorek winylu w postaci gazu. Ten zaś przez polimeryzację (łączenie cząsteczek małych w duże) staje się białym proszkiem — polichlorem winylu, a więc winidurem.

Właśnie z tego proszku przez walcowanie, kalandrowanie a następnie prasowanie w temperaturze 160—170° wyrabia się winidurówkę płyty. Rury zaś produkują się przez walcowanie i wytłaczanie w odpowiednich prasach.

KŁOPOTY AREOPAGU

Ale. We wszystkich wynalazkach jest jakieś „ale”, które niejednokrotnie nawet je przekreśla. Często na skutek wadliwego procesu technologicznego produkcji winidur jest kruchy, łatwo łamiący, mięknie już w temperaturze 70°. I w tym cały kłopot, nad którym biedzi się areopag kapłanów chemii z Instytutu Tworzyw Sztucznych.

W laboratorium inż. Zakrzewskiego dzwoni telefon. To z Mirkowskich Zakładów Papierniczych. W Mirkowie zupełnie nie udaje się spawanie rur winidurów, którymi zastępują dotychczasowe przewody ołowiane. Winidur spawa się podobnie jak metal, ale wymaga to specjalnej umiejętności i czynność tę potrafią spełniać tylko specjalnie przeszkoleni spawacze. Nad opracowaniem nowej, łatwiejszej metody łączenia rur winiduru pracują właśnie inżynierowie Zieliński i Skrzypczak.

Inny przykład: do laboratorium wchodzi wysoki brunet i bezzadnie rozgląda się po sali: „Ja w sprawie winiduru z Fabryki Zabawek. Coś nam nie wychodzi barwienie”. Otóż pod wpływem wysokiej temperatury podczas walcowania winidur zabarwia się na brunatno-czerwony kolor, który potem trudno usunąć. „Tracenie” tego nie milego koloru, nadawanie winidurowi po-

trzebnej barwy — to również nowość opracowywana przez Instytut.

NIECODZIENNE „CIASTO”

Naszą uwagę zwraca też wspomniana już „ciasteczkowata” kostka — winidur w postaci pienistej. Nic dziwnego, że przypomina ciastko, powstaje podobnie jak drożdżowe pieczywo.

Otóż polichlorek winylu miesza się z substancją, która w podwyższonej temperaturze rozkłada się wydzielając gaz. Mieszanie przenosi się do form i prasuje w podwyższonej temperaturze. Wydzielający przy tym gaz powoduje dziesięciokrotne zwiększenie objętości tego „ciasta”, jednak spieniony winidur nie traci kształtu regularnej kostki czy walca, jaki nadała mu forma.

Otrzymane tworzywo jest trzykrotnie lżejsze od korka (!) i posiada świetne właściwości izolacji cieplnej. Dzięki temu ma ono szerokie zastosowanie przy instalacjach izolacji cieplnej we wszelkiego rodzaju chłodniach, samolotach i okrętach (lekkość) oraz do wyrobu wodnego sprzętu ratowniczego (pasy, koła, korki) pływaków do sieci rybackich itp.

Ale najciekawszą pracą z winidurem wykonujemy teraz — o powiada inż. Roszkowski. — Chodakowskie Zakłady Włókien Sztucznych konstruuja maszynę przeździelniczą, w której wszystkie części ołowiane zastępowane będą przez winidur. Pomyślcie tylko: maszyna, która ważyła czterdzieści ton, ważyć będzie tylko osiemset kilogramów. Co za oszczędność! Ale trudności z tą przedziałką tysiące. Byliśmy tam, radziliśmy, trochę pomogliśmy, ciekawe czy się uda. To przecież przedsięwzięcie na skalę europejską.

W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI

Winidur, winidur... to słowo słychać tutaj na każdym kroku. Już niedługo nasz bohater stanie się równie znany, jak drewno czy korek. Pomyślcie tylko: od zabawek dla dzieci do potężnej konstrukcji aparatury chemicznych, części okrętowych, a może i budowlanych.

To wszystko jest kwestią nie tak dalekiej przyszłości. Lecz po to, aby rozszerzyć zastosowanie winiduru, niezbędne są naszemu przemysłowi wyniki trudnej pracy Instytutu. Tworzywa sztuczne — to dział zagadnień do niedawna u nas nieznanych, samodzielny Instytut powstał dopiero w roku 1952. Polscy inżynierowie rozwiązując skomplikowane zagadnienia tworzyw sztucznych niejednokrotnie błądzą więc jeszcze po omacku. A pracuje tutaj w przeważającej większości młodzież, nasi absolwenci z wyższych uczelni. Krótko wytłumaczył to zjawisko inż. Rubin: „Młoda nauka to i młodzi naukowcy. My, starzy chemicy, niewiele więcej o niej wiemy niż młodzi absolwenci. Wszyscy musimy być badaczami niedokrytych terenów”.

H. WIEGNER

LESŁAW BAJER, RYSZARD WIELKOPOLAN

O pracy ideo

Organizacja partyjna a u jej boku ZMP mają na wyższych uczelniach ogromne możliwości pracy nad wychowaniem wysoko kwalifikowanych kadr przyszłych specjalistów w różnych dziedzinach wiedzy. Możliwości te nie zawsze są wykorzystywane, nie zawsze stałą się rzeczywistością, co ujemnie odbija się na zawodowym i politycznym poziomie absolwenta. Mimo pierwszorzędnego znaczenia, jakie ma środowisko studenckie dla gospodarki i kultury narodowej, rzadko słyszy się dyskusje o pracy organizacji politycznych w nim działających, o problemach nurtujących to środowisko, o jego trudnościach, niedomaganiach, które są tak liczne, a tak wstydliwie przemilczane.

Nie jest bynajmniej naszym celem podanie wyczerpującej oceny sytuacji na wyższych uczelniach. Chcielibyśmy się zastanowić jedynie nad niektórymi istotnymi aspektami pracy ideologicznej i atmosfery Uniwersytetu Wrocławskiego. Intencją naszą jest pokazanie pewnych zagadnień w taki sposób, w jaki je widzimy i podanie ich ewentualnej, koniecznej zresztą i pożądanej dyskusji.

ZBYT MAŁO ENTUZJAZMU

Zjawiskiem, jakie uderza każdego, kto obserwuje młodzież studencką jest słaby, amemiczny entuzjazm. Tego „duchowego kalektwa” dorobiła się młodzież jeszcze w szkołach średnich. Tam nauczono ją „poprzestawać na małym” i zamiast rzeczywistej wiedzy zdobywać nieprzeżywaną i chaotyczną namiastkę; tam też nikt na ogół nie usiłował wpływać na jej emocjonalny, osobisty stosunek do nauki.

Oczywiście nie leży w naszych zamiarach generalizowanie tej tezy; mamy na myśli tylko najmniej awansowaną, najmniej entuzjastyczną ale, niestety, sporą grupę młodzieży. Brak entuzjizmu, powtarzamy to raz jeszcze z całą odpowiedzialnością za słowo, odbija się ujemnie na każdej dziedzinie życia studenckiego.

Otwarcie należy przyznać, że młodzież przychodząca na studia często nie jest na odpowiednim poziomie. Czy atmosfera Uniwersytetu zmienia na to lepsze? Czy młodzież ta wciągnięta w wir głębokiej, porządnej pracy wyrzyna się swych szkolarskich nawyków w myśleniu, przekracza szkolarski sposób zdobywania wiadomości?

Co robi uniwersytecka kadra nauczająca, co robi Partia i ZMP, aby

natchnąć młodych studentów nowym duchem, nauczyć ich nowego sposobu myślenia, wciągnąć do pracy rzeczywiście naukowe? Zdaniem naszym wszystkie wymienione wyżej czynniki nie przejawiają w tej dziedzinie zbyt ożywionej działalności. Traktują one pierwsze lata tak jak lata starsze; „ogólnie kierują” pracą polityczno-wychowawczą, bez uświadomienia sobie konkretnych metod i środków.

Młodzież przychodząca na studia bez jakiegokolwiek wewnętrznego potrzebny pracy naukowej, z małym bardzo zasobem entuzjizmu nie znajdując w murach uczelni nowego, które mogłoby ją porwać, szybko aprobuje zaobserwowany stan rzeczy, przejmuje go skwapliwie, co w konsekwencji pogarsza sytuację tak, że na latach starszych praca wychowawcza staje się trudniejsza, gdyż są na nich studenci o ujemnych, a świeżo nabytych na Uniwersytecie cechach.

Ten proces wydaje się bardzo łatwy do zaobserwowania, nie są zdolne zapobiec mu partyzanckie zrywy poszczególnych instancji organizacyjnych.

Niewątpliwie pozytywnym tu zjawiskiem jest rewizja programów nauczania, zmierzająca do maksymalnego okrajania zajęć obowiązkowych. Zlikwidowano w pewnej mierze takie przerwy jak 45 godzin zajęć tygodniowo na III r. biologii, położono większy nacisk na ćwiczenia i seminaria, ograniczono ilość kursowych wykładów, wprowadzono monograficzne. Nie wydaje się jednak aby na tym można było poprzestać. Skoro obciążenie studenta zmalało, należy się zatroszczyć o to, aby umiał on i c h e i a l odpowiednio wykorzystać czas wolny od zajęć, ale przeznaczony na naukę.

Czy jedyną formą zachęcania studentów jest kontrola administracyjna? Wydaje nam się, że nie! Należałoby takimi torami pchnąć pracę wychowawczą, by student zamieszany w swym kierunku studiów z własnej chęci, dając upust swym zainteresowaniom zajął się dociekaniem naukowymi wybiegającymi poza wymagane przy egzaminie minima. Oczywiście, nie wszystkich studentów zdola objąć ten nurt, wielu z nich pozostanie na uboczu, będzie żyło własnym życiem. Ale nie ludźmy się. Nie ma środków, ani metod które mogłyby spowodować momentalną, zupełną zmianę całego środowiska studenckiego. Jeżeli uda nam się natchnąć w tym kierunku tylko



A oto kwasoodporna instalacja wykonana całkowicie z winiduru. Instalację tę oglądaliśmy niedawno na wrocławskiej wystawie postępu technicznego. (Foto J. Kalisz)

W nogoni ZA HOKEJOWĄ PIŁECZKĄ

O tym, że Mietek Cieślewicz rozpoczął studia w Szczecińskiej Szkole Inżynierskiej, zdecydował przypadek. Pierwotnie miał szczyry zamiar pozostać w Poznaniu, gdzie obok studiów mógłby nadal uprawiać „swoją” hokej na trawie. Tymczasem, mimo że zdał egzamin wstępny — nie został przyjęty i z bólem serca wybrał się do Szczecina, gdzie hokeja na trawie zupełnie nie znano. Któregoś dnia spotkał dawnego kolegę — Wiesia Serbę. Zaczęli wspominać Gniezno, wspólne treningi i mecze w szkolnym klubie „Chrobry”, gdzie istniała sekcja hokeja na trawie. Rok

zeszła się po uczelni fama, że Cieślewicz to znany gracz w hokeju na trawie, członek kadry narodowej, że grał w drużynie ligowej itd. Oczywiście autorem tej „propagandy” — był Wiesiek.

Tymczasem Mietek w grupach opowiadał o hokeju, rysował na tablicy zakrzywioną łaskę, boisko, bramki. Z czasem w jego notetniku nabierało się trochę nazwisk. Gdy była trzydziestka, przestał agitaować... jak ćwiczyć bez sprzętu?

Wakacje. Wszyscy rozjechali się do domów. Mietek miał całe lato zepsute. Dadzą sprzęt, czy nie dadzą? We wrześniu stracił już nadzieję. Tymczasem, gdy wrócił z wakacji, dowiedział się, że w Szczecinie powstała sekcja hokeja na trawie... ale w „Stali”. Wtedy mało ze „skóry nie wyskoczył”. Narobił tyle „szumu”, że wreszcie 20 października otrzymał sprzęt i można było rozpocząć pracę.

Pierwsze zebranie sekcji — Mietek aż się zdziwił. Przyszło 25 osób. Zaczął się... kurs dla „alfabetów hokeja”. Mietek wziął na siebie rolę nauczyciela, pokazywał, tłumaczył, prowadził za rękę, jednym słowem w ciągu niecałych dwu miesięcy nauczył 30 chłopaków hokejowego abecadła.

Nadszedł wreszcie dla hokeistów pierwszy egzamin. Był to Turniej Przyjaźni rozgrywany w hali. Startowały 4 drużyny: dwie „Stali” i dwie AZS.

Nie będę opisywał samych rozgrywek. Powtórzę za kibicami, że azetasiacy dali pokaz zespołowej gry no i zwyciężyli zdobywając I i II miejsce. To zwycięstwo przekonało największych niedowiarków do swego kierownika i trenera — Mietka, drużyna pozbyła się kompleksu niższości, nabrała odwagi i jeszcze większego zapалу do pracy. Sekcja stanowiła już zgrany kolektyw, ożywiony wspólną myślą, jak najlepszego przygotowania się do mistrzostw wojewódzkich. W maju zdobyli mistrzostwo i wicemistrzostwo województwa szczecińskiego.

W sesji wiosennej prawie nikt z sekcji nie oddał „punktów walkowerem”, na ogół wszyscy mieli dobre lub bardzo dobre stopnie i na

praktyki wakacyjne wyjechali w dwóch grupach do Gdyni i Bydgoszczy. Codziennie po pracy trenowali razem z miejscowymi drużynami. Udało się nawet dzięki fin. „owej pomocy ZO AZS zorganizować mecz z I-szo ligowym „Włókniarzem”. Przegrali 5:0, ale nie zrazili się tym. Poznali lepiej swoje błędy i nabrali przekonania, że droga do sukcesów wiedzie tylko przez rzetelną pracę.

W drugim towarzyskim spotkaniu z mistrzem woj. bydgoskiego „Spójnią” wygrali 1:0.

Praktyki skończyły się, a wrzesień przyniósł początek boju o wejście do ligi. Pierwszy mecz z Unią — Pionki wygrali w stosunku 3:1. Potem wygrali 1:0 z Gliwicką „Stalą”, która była już w lidze. Dopiero w Gnieźnie — ojczy-

nie polskiego hokeja na trawie nasi hokeiści doznali porażki.

Przeciwnik „Start” nie był o wiele lepszy, ale miał za sobą liczną zebraną publiczność i atut własnego boiska. W dodatku nasi chłopcy po raz pierwszy w swej karierze pozwolili narzucić sobie taktykę przeciwnika. W konsekwencji przegrali 4:1 i do upr. iónego awansu zabrakło 2 punktów.

Do załamania drużyny nie dopuścił jej trzon: Sokółowski, Jarzabek, Szczutkowski, Szytytel — najlepsi gracze w drużynie i najbardziej przywiązani do barw Zrzeszenia. Mietek na wspólnym zebraniu powiedział: Jeśli chcemy wejść do ligi, musimy nauczyć się strzelać tak, jak to umie Krajewski ze „Startu” Gniezno. I to stało się hasłem zespołu.

Rozmawiałem ostatnio z Mietkiem Cieślewiczem. Mówił mi, że atmosfera w sekcji jest bardzo dobra, przygotowują się solidnie do wiosennego sezonu, zdają normy SPO II stopnia i mają ambitne plany na przyszły rok.

Wierzę, że przyniesie on upragnione sukcesy. Przekonała o tym pełna zapалу i poświęcenia praca, ambicja i wola zwycięstwa całego zespołu.

KRZYSZTOF GAERTIG



AZS Szczecin przed meczem ze „Stalą” Gliwice
wygranym przez studentów 1:0

1946 — pierwsze kroki pod okiem „ojczulka hokeja na trawie” — Drzewieckiego, potem pierwsze mecze i awans ich drużyny do ligi. Sport stał się nieodłączną częścią życia, znajdowali w nim upust dla swej energii, radość i siłę do pracy nad książką.

„A gdybyśmy tak założyli drużynę... tu, w Szczecinie” — zwierzył się ze swych tajnych myśli Mietek. „Człowieku. Przecież tu nie mają o tym pojęcia... a zresztą nie ma sprzętu”.

Ale Mietek jak raz sobie coś postanowił, musi dopiąć swego. Zaczął nachodzić Zarząd Koła AZS. Długo przekonywał ówczesnego przewodniczącego o słuszności organizacji sekcji hokeja na trawie, aż wreszcie musiano ustąpić przed uporem Mietka i zdecydowano się zwrócić o przydział sprzętu do ZG AZS.

Miał marzec, kwiecień, maj — Mietek i Wiesiek przez ten czas „organizowali sekcję”. Najpierw ro-

Kibic MA GŁOS

Źle się dzieje z SPO

Tym razem nie będę mówił o pracy którąś z kół AZS, czy też o wrażeniach z podróży w poszukiwaniu ciekawych studenckich zawodów sportowych. Chcę poruszyć problem odznaki SPO. Otóż wpadło mi w ręce sprawozdanie z wykonania planu SPO za rok 1954 przez zrzeszenia sportowe na terenie Warszawy.

Z niecierpliwością przeczucam kartki grubego brulionu i wreszcie jest. Szybko przebiegam wzrokiem po rubrykach „bilansu rocznego” i... o zgrozo! Najliczniejsze zrzeszenie sportowe AZS znajduje w nim jedną z ostatnich pozycji. Gdy np. w październiku ZS „Spójnia” zameldowało o przekroczeniu limitu planowanych odznak, AZS wykonał plan aż... w 11 procentach. Obecnie sytuacja niewiele się poprawiła. AZS wykonał roczny plan w 19,4 proc. Nie pocieszyło mnie nawet to, że za nami jest jeszcze „Kolejarz” i inni. Fakt jest faktem. „Ciągniemy się w ogonie”. Zamiast prawie 3500 odznak, studenci zdobyli... niewiele ponad 600.

Dlaczego tak jest? Jeśli planujemy 3500 odznak to mamy do tego realną podstawę, a skoro tak, to plan powinien być wykonany przynajmniej w 100 proc. Jednak nasze koła AZS nie potrafiły należycie zorganizować pracy. Kierownicy sekcji SPO nie przejawiali żadnej, lub prawie żadnej inicjatywy. Nie usprawiedliwili ich nawet brak sprzętu czy instruktora. Inne zrzeszenia, koła sportowe będąc w podobnej sytuacji jednak plan wykonywały, a niektóre nawet poważnie go przekroczyły. Członkowie kół sportowych przy zakładach pracy nie mają również zbyt

wiele wolnego czasu, a jednak zawsze można ich spotkać na boiskach podczas prób na odznak.

W parku Sikorskiego lub w „Agricoli” rzadko można zobaczyć studentów zdających normy. Razu pewnego podczas rozmowy z człowiekiem, który pracuje na terenie wspomnianego „Agricoli” usłyszałem: „Spotkać studenta zdającego normę na SPO w niedzielę to szczęście przez cały tydzień”. Sytuacja jest dość trudna, ale nie bez wyjścia. Za zdawanie norm powinny być odpowiedzialne koła AZS, które korzystają z pomocy katedr WF-u. Każdy student objęty WF-em powinien być posiadaczem odznaki SPO, co będzie najlepszym sprawdzianem jego umiejętności po dwuletnim szkoleniu. Normy, studenci zdawców powinni przed komisją SPO na zawodach organizowanych przez AZS. Celowe będzie zorganizowanie w porządku z innymi kółami przy uczelniach danej miejscowości „dni zdawania norm na odznakę SPO” (można to inaczej nazwać). Chodzi tu o pływanie, gimnastykę i te próby, których jedno koło nie jest w stanie przeprowadzić (podobnie robią inne zrzeszenia organizując spartakiady dzielnicowe).

Należy przeprowadzić naradę przedstawicieli kół AZS-u uczelni warszawskich i katedr WF-u, ażeby sprawa SPO została wreszcie właściwie rozwiązana.

Za rok a może i wcześniej AZS-Warszawa zamelduje chyba o przekroczeniu planu zdobycia odznak, czego z Nowym Rokiem życzę

KIBIC



Prawdziwy zimowy obrazek. W Warszawie niedługo doczekamy się podobnych widoków — trzeba tylko w dzień deszczu, a w nocy mrozu — i wszystkie warszawskie drzewa obloką się w taką szatę!
foto: Janusz Badora

KUPON KONKURSOWY (Bal Sportowców)

Nr	Nazwisko zawodnika	Lit.	Nazwisko zawodniczki
1		A	
2		B	
3		C	
4		D	
5		E	
6		F	
7		G	
8		Nazwisko i Imię	
9		Dokładny Adres	
10		Uczelnia	
11		Koło AZS (o ile należy)	
12			
13			
14			

Konkurs Kto zgadnie... Konkurs

Kto zgadnie co przedstawiają zamieszczone obok rysunki?

Na tym właśnie polega nasz konkurs. Cała trudność tkwi we właściwym odczytaniu znaczenia zamieszczonych rysunków. Jeżeli np. znaleźliśmy obrazek przedstawiający mecz piłkarski (tego oczywiście w konkursie nie ma), to szukanym wyrazem byłby albo „mecz”, albo „zawody”. W znalezionych wyrazach interesują nas pierwsze litery, gdyż one właśnie ustawione w kolejności od 1 do 43 dadzą rozwiązanie składające się z 10-ciu słów. Najmniej kłopotu sprawi naszym czytelnikom 9 liter umieszczonych na rysunku — pozostałych 35-ciu szukać należy w wspomniany wyżej sposób.

Po odnalezieniu znaczeń poszczególnych wyrazów, należy wpisać otrzymane hasło na umieszczonym niżej kuponie i przesłać W TERMINIE DO DNIA 22 STYCZNIA NA ADRES REDAKCJI: WARSZAWA 18, UL. WIEJSKA 17 zaznaczając na kopercie „KONKURS KTO ZGADNIE?”.

Pośród tych, którzy nadesłali trafne rozwiązanie, zostaną rozlosowane następujące nagrody:

- zegarek na rękę
- kupon materiału na ubranie
- bezpłatne 10-dniowe wczasy zimowe
- biblioteka złożona z 50 tomów
- biblioteka złożona z 30 tomów
- blblioteka złożona z 20 tomów
- 7-10. bony książkowe na sumę 100 zł.
- 11-20. roczna prenumerata POPROSTU
- 21-50. nagrody książkowe

Kupon Konkursu „Kto Zgadnie”

Imię i nazwisko
Dokładny adres
Uczelnia
Tekst hasła konkursowego

